

**1924 KPiP**



1101924

WSPOMNIENIA  
MŁODEJ ROBOTNICZY.

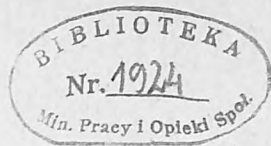
# WSPOMNIENIA MŁODEJ ROBOTNICZY

Z PRZEDMOWĄ  
AUGUSTA BEBLA.

TŁUMACZYŁ Z NIEMIECKIEGO  
B. HOLLÆNDER.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH LUDWIKA FISZERA  
ŁÓDŹ — WARSZAWA.

1910



## WSTĘP.

Gdy w latach 90-ych proboszcz Goehre, obecnie człowiek naszej partyi, wydał dzieło pod tytułem: „Trzy miesiące w roli robotnika fabrycznego“, w którym opowiedział, co przeżył w przeciągu trzech miesięcy, jako robotnik fabryczny, najczęściej konserwatywna gazeta uczyniła tego rodzaju uwagę: Znamy lepiej warunki życia owe napół dzikich plemion afrykańskich, niż życie naszych niższych warstw społecznych.

Zdanie to możnaby zastosować także do niniejszego dzieła. Życie warstw niższych jest dla wyższych sfer naszego społeczeństwa zupełnie innym światem: światem rozpacz, niedoli, moralnego i fizycznego zwyrodnienia, tak, że pytamy z przerażeniem, czy możebne jest istnienie czegoś podobnego w naszym społeczeństwie, pysznącym się swoją chrześcijańskością i kulturalnością?

Autorka opisuje te warstwy najniższe, na których jest zbudowane nasze społeczeństwo, wśród których ona na świat przysła i pół życia spędziła.



Widzimy też z tego dzieła, jak ona, nie bacząc na smutny byt swego otoczenia, zdołała się z niego wyrwać, wykształcić się na bojowniczkę swej płci i być szanowaną i uznaną przez wszystkich, którzy ją znają.

Rzadko czytałem z takim wzruszeniem jakieś dzieło, jak to, które mamy przed sobą. Jaskrawemi barwami maluje autorka nędzę życia, niedostatek i moralne krzywdy, na które była wystawiona, jako biedne dziecko proletariatu i które jako proletaryuszka kosztować musiała do dna.

Dzieciństwo swoje spędziła autorka w otoczeniu, nie zasługującym na miano ludzkiego. Ojciec jej jest alkoholikiem, nie posiadającym ani iskry ojcowskiego uczucia; matka jej, wprawdzie poczciwa i dzielna kobieta, pracuje dzień cały dla utrzymania rodziny; wieczne jednak kłopoty o byt i niedostateczne wychowanie zrobiły z niej kobietę nie tylko nieczułą, lecz wrogą wszelkim zagadnieniom ducha i sprzeciwiającą się dążeniom córki, chcącej wyzwolić się z tego nieludzkiego stanu, w który tak niesprawiedliwie pchnął ją los.

Wyzwolenie to osiągnęła sama, o własnej sile, dzięki niezachwianej pilności i niezmordowanej pracy nad sobą.

Szczerby swego nader niedostatecznego wykształcenia wypełniła nadzwyczaj szybko; więzy kościelne, któremi spętano ją w dzieciństwie,

rozrywa i staje się wolnomyślicielką, przejęta czcياً dla monarchizmu przechodzi do republikanizmu, a gorsza nędza jej życia i doświadczenia osobiste czynią z niej zapaloną socjalistkę i bojowniczkę za wyzwolenie zjednoczonego proletariatu. Życie jej może służyć przykładem dla wielu innych. Z zupełną racją utrzymuje w końcu swego życiorysu, że energia i wiara w swe siły są niezbędne, żeby z siebie coś zrobić. Wiele kobiet mogłoby uczynić to samo, gdyby były przejęte duchem socjalizmu, wyzwalającym ludzkość.

Jedno tylko muszę wytknąć temu dziełu: iż autorka z powodu niewytłumaczonej skromności nie podała swego nazwiska. Nie zostanie ono wprawdzie tajemnicą, lecz uważam to dla rozpowszechnienia dzieła skuteczniejszym, gdyby ona, której imię znane jest każdemu, powiedziała otwarcie: taką byłam niegdyś, taką jestem dziś. To, co uczyniłam, powinnam była uczynić, i wy inni możecie postąpić tak samo, powinniście tylko chcieć.

Mojem życzeniem jest, aby to dzieło rozeszło się w setkach tysięcy egzemplarzy.





## Wspomnienia młodości robotnicy,

opowiedziane przez nią Samą.

Większość ludzi, wychowanych w normalnych warunkach, w czasach ciężkich przejść wspomina z wdzięcznością i wzruszeniem o szczęśliwej, pięknej porze młodości i wzdycha z upragnieniem: „o gdybyż ten czas jeszcze powrócił“.

Ja jednak z zupełnie innym uczuciem wspominam o mej młodości. Nie zaznałam wtedy ani jednego promyka ciepłego, nie mam pojęcia o cichem ognisku domowym, o czulej opiece miłującej matki. Jednak miałam dobrą matkę, zdolną do ofiar, która nigdy nie pozwoliła sobie spocząć chwileczkę, gnana koniecznością i własną wola, żeby uczciwie wychować dzieci i uchronić je przed nędzą. To, co pamiętam o mem dzieciństwie jest tak ponure i surowe, tak silnie wryło się w mój mózg, że nigdy tego nie zapomnę. Wszystko, co inne dzieci w zachwyty wprawiało, co dawało im chwilkę ogromnego szczęścia — lalki, zabawki, bajki, łakocie i choinka — wszystko to było mi obce i nieznanne;

ja znałam tylko wielką izbę, w której pracowano, jedzono, spano i kłócono się. Nie pamiętam ani jednego czułego słowa, ani jednego uścisku; pamiętam tylko strach, z jakim przypatrywałam się z kąta lub z pod łóżka scenie rodzinnej, gdy ojciec przyniósł za mało pieniędzy, a matka czyniła mu wyrzuty. Ojciec zapalczywy, bił wtedy matkę, która nawpół ubrana musiała szukać schroniska u sąsiadów, a my zostawaliśmy kilka dni same z rozjątronym ojcem, do którego nie ośmielaliśmy się zbliżyć. Jedzenia, przynoszonego przez liściowych sąsiadów było wtedy niewiele, aż znowu wróciła matka, kłopotząc się o gospodarstwo i o dzieci.

Sceny tego rodzaju odgrywały się co miesiąc, a czasem i częściej. Całym sercem kochałam matkę; do ojca czułam niczem nieprzezwyciężony lęk i nie pamiętam, czy kiedyś z nim mówiłam, lub czy on do mnie się zwracał. Gniewało go bardzo że ja, jedyna dziewczynka z pięciorga dzieci, miałam ciemne oczy, jak matka. Szczególnie dobrze zapamiętałam wieczór wigilijny, gdym jeszcze pięciu lat nie skończyła. Wtedy o mało nie dostałam choinki. Matka moja chciała najmłodszemu z dzieci, t. j. mnie, pokazać, co to jest Dzieciątko Jezus. W przeciągu wielu tygodni zbierała po groszu, żeby mi kupić małe naczynia kuchenne. Choinka była przystrojona w kolorowe pa-

pierowe łańcuchy, złożone orzechy i skromne zabawki. Z zapaleniem świec czekano na ojca, który poszedł do fabrykanta odnieść towar. Miał on przynieść pieniądze. Wybiła 6 godzina, potem 7, wreszcie 8 — ojciec nie powracał. Byliśmy wszyscy wygłodniali i prosiliśmy jeść. Dano nam placek z makiem, jabłka i orzechy. Jedliśmy sami, później musiałam iść spać, nie ujrawszy zapalonych świec na choince. Matka nie miała humoru do tego i bardzo była zakłopotaną. Nie śpiąc, leżałam w swym łóżeczku; tak cieszyłam się myślą o wigilii i oto nie udało się nic. Wreszcie usłyszałam kroki powracającego ojca; nie przyjęto go dobrze i znowu nastąpiła okropna scena. Ojciec przyniósł mniej pieniędzy, niż się matka spodziewała, w dodatku wstąpił po drodze do szynku, by się rozgrzać, gdyż droga trwała dwie godziny, i wypił tam za dużo. Z mego łóżka spoglądałam podczas hałasu na rodziców i oto zobaczyłam, jak ojciec siekierą porąbał choinkę. Nie ośmieliłam się krzyczeć, płakałam tylko cichutko, płakałam długo, aż zasnęłam.

Następnego dnia ojciec z poczucia litości podarował mi kilka groszy; kupiłam sobie za nie naczynka blaszane. Jacys dobrzy ludzie podarowali mi lalkę i inne zabawki, które zabrały swoim własnym dzieciom, dając im w zamian lepsze i ładniejsze.



Przypominam sobie jeszcze jedno zdarzenie. Wtedy jeszcze, gdy chodziłam do szkoły, pewien bardzo bogaty człowiek, właściciel fabryki, gdzie pracowało wiele kobiet i mężczyzn, urządził choinkę dla biednych wychowalców szkoły. Ja też należałam do liczby szczęśliwych, obdarzonych łąkociami i wełnianym ubraniem. Wielka, prościuchna choinka jaśniała tak jarzącym światłem, jakiegom nigdy jeszcze nie widziałam, a łąkocie, któremi nas uraczono, wprawiły wszystkich w wysmienity humor. Jakże wdzięczną byłam temu dobremu, bogatemu człowiekowi, który miał takie litościwe dla biednych serce. Gdy później matka moja owdowiała i musiała w jego fabryce 12 godzin dziennie za 3 guldeny tygodniowo pracować, nie mogłam jeszcze wtedy osądzić, że tu było źródło jego „wspaniałomyślności“. O wiele później dopiero zrozumiałam to.

\* \* \*

Ojciec został zmożony ciężką chorobą, która zawiodła nas do smutnego stanu. Nie chciał być w szpitalu, a bez porady lekarskiej nie można go było zostawić. Doktor i lekarstwa jednak pochłoneły prędko wszystko, co zarobiono i położenie nasze z dnia na dzień stawało się rozpaczliwszem. Ile razy szłam do apteki z receptą, matka zawsze biadała, jakże długo to jeszcze trwać będzie. Pewnego dnia

było już tak źle, że zawołano księdza, by wyspowiadał ojca i opatrzył go ŚŚ. Sakramentami. Było to dla mnie wielkie zdarzenie. Wszyscy mieszkańcy domu klęczeli w naszym pokoju i my z nimi. Zapach kadzidła napełnił powietrze, a podczas modlitwy słyhać było płacz mej matki. W kilka godzin później zmarł ojciec, i matka nigdy wybaczyć mu nie mogła, że zszedł ze świata, nie pogodziwszy się z nią i nie wspomniawszy o dzieciach.

Nie odczuwałam żadnego smutku; przeciwnie, gdy jedna z zamożniejszych rodzin pożyczyła mi żałobną sukienkę i kapelusz z woalką, miałam bardzo przyjemne uczucie — żem ładnie ubrana. Matka została teraz karmicielką pięciorga dzieci. Najstarszy, ośm-nastoletni brat nie mógł nam przyjść z pomocą, gdyż nauczył się rzemiosła będącego w upadku. Zdecydował się przeto szukać szczęścia na obczyźnie i porzucił dom rodzinny. Dwaj młodszy bracia, którzy dotychczas pomagali ojcu pracować w domu, poszli na naukę do terminu, a najmłodszy, dziesięcioletni, chodził do szkoły.

Matka miała wiele siły woli, wrodzony rozsądek i chęć dowiedzenia, że matka też może swoje dzieci wychować. Zadanie jej było ogromnie trudne, bo oprócz zajęć gospodarskich nic prawie nie знаła. Osierocona w młodym wieku, musiała już od szóstego roku iść

służyć; do szkoły nie chodziła nigdy, nie umiała zatem ani czytać ani pisać. Matka była przeciwną tym „nowomodnym prawidłom“, jak nazywała obowiązek szkolny. Miała to za niesprawiedliwość, że inni ludzie wskazywali rodzicom, jak mają postępować z dziećmi. Tą zasadę podzielał z nią w zupełności mój ojciec i bracia już od dziesiątego roku życia musieli mu pomagać w tkactwie. Według zdania mego ojca, trzy lata nauki wystarczały zupełnie, a kto do lat dziesięciu niczego się nie nauczył, ten i później nic umieć nie będzie. Tę myśl ojciec wypowiadał często. Najmłodszy brat też był zmuszony szkołę opuścić; choć prawa o obowiązku szkolnym już więcej wko-rzeniły się w życie i władza szkolna czyniła pewne trudności, matka jednak z wielkim trudem wymogła, że zwolnili brata ze szkoły i mógł zostać wyrobnikiem we fabryce.

Minęły dwa lata; brat zarabiał, a matka pracowała od świtu do późnej nocy. W godzinach wolnych od zajęć szkolnych, musiałam zajmować się gospodarstwem i w wczesnej młodości uczyłam się spełniać roboty gospodarskie wszelkiego rodzaju.

Byłam dumną, gdy mnie chwalono, widząc mnie stojącą przy balii, szorującą podłogę lub obierającą kartofle. Chciałam być podporą mej matki, którą wszyscy szanowali. Jej pracowitość i wieczne starania około zapewnienia

egzystencji dla siebie i dzieci, miały uznanie u wszystkich. Jednak oczekiwało nas wielkie nieszczęście.

Ogólne bezrobocie, które szeroką falą zalało kraj cały, wydarło zajęcie mym braciom i matce. Na domiar nieszczęścia, najmłodszy z braci poślizgnął się i upadł tak nieszczęśliwie, iż zapadł w ciężką niemoc. Rok cały leżał w domu na łożu boleści, później odwieziony został do szpitala. Co to była za rozpacz! Jak trudno było mu rozstać się z naszym biednym domem, gdzie brak mu było najniezbędniejszych rzeczy. Jeszcze dwa lata cierpiął okropnie, nim został od cierpienia uwolniony. W przeciągu całego roku musiał leżeć w łożu wodnym, by ulżyć cierpieniom. Kilkakrotnie operowano go i wypiłowywano kości. Tak mało mogliśmy mu pomóc, że tylko serdeczne współczucie ludzi obcych, obdarowywujących go szczodrze, sprawiło nam maleńką ulgę. Nawet lekarze i pielęgniarki dobrze obchodzili się z tym miłym, cierpliwym chłopcem, który, nie bacząc na swój ciężki stan, przyjemnym głosem wyśpiewywał piosenki, by innym sprawić przyjemność. Zaledwie skończył 15-stą wiosnę życia, gdy był pochowany we wspólnym grobie w podarowanej trumnie.

Bezrobocie dawało się nam we znaki; żaden z rodziny nie zarabiał, i nawet pierzchła nadzieja zarobienia czegoś, oczyszczając ulice od



śniegu. Wtedy dla mnie, ośmioletniej, znalazło się zajęcie. Wracając z wiejskiej szkółki, położonej daleko, musiałam wstępować do pewnego chałupnika i przyszywać guziki. Aż do dziewiątej godziny wieczór zostawałam u niego; gdy już zręcznie i prędko wykonywałam robotę, pozwolono mi zabierać ją do siebie. Wprawdzie zarabiałam tylko kilka grajcarów, były jednak niezbędnymi w tych ciężkich warunkach. Matka też nie żałowała pracy, ani zabiegów, gdyż oprócz chorego brata, będącego naówczas jeszcze w domu, pięć osób znosiło głód. Chwytano się wtedy wszelkiego sposobu zarobkowania: gdy nastąpił Nowy Rok, musiałam chodzić do bogatych domów w mieście i okolicy, gdzie za noworoczne życzenia obdarzano mnie pieniędzmi. Wiele ludzi postępowało tak samo, i często, wchodząc do domu jakiegoś, spotykałam dzieci, wychodzące stamtąd. Dochody, jakieśmy mieli z wędrówek tego rodzaju, wystarczały na płacenie komornego.

Takie są wspomnienia mego dzieciństwa i napewno powiedziałam nie za wiele, twierdząc, że ani jeden promyk, ani jedno czułe słowo nie zostały w pamięci z owych czasów.

\* \* \*

Do szkoły chodziłam nie zawsze, gdyż musiałam zarabiać, i każdy dzień, wydarty szkole, dawał dużo dochodu. Wreszcie z powodu

opuszczania lekcyj, matka została skazaną na 24-godzinny areszt. Pewnego dnia, było to w wielką sobotę, przyszło do nas dwóch żandarmów i zabrali matkę, gdyż zapomniała do oznaczonego czasu stawić się dobrowolnie w więzieniu. Matka później nigdy zapomnieć nie mogła, że jej, pracowitej kobiecie i opiekującej się matce nie zaoszczędzono tego wstydu. Mój wstyd trudno sobie wyobrazić. Nie odważyłam się wyrzeć na ulicę, gdzie o niczem innem nie mówiono, jak o wyprowadzeniu mojej matki przez żandarmów. Jednak wszyscy potępiali ten brutalny środek, gdyż wszystkim była wiadoma przyczyna aresztu. Nauczyciel szkolny często przypominał mamie, żeby mnie regularniej do szkoły posyłała, zapewniał bowiem, że z moimi zdolnościami mogłoby ze mnie coś być, gdybym systematyczniej lekcje pobierała. Zaproszono nawet mego opiekuna, ten jednak był tego zdania, że biedne dzieci powinny uczyć się pracować i ufać Bogu, wtedy będzie im dobrze. Każdej niedzieli musiałam z książką do nabożeństwa stawić się u opiekuna i wysłuchiwać coraz to nowych nauk o religijności i pokorze. Cały swój majątek chcieli mi ci ludzie zostawić, gdybym była taką, jak oni chcieli; że jednak byłam inną, przeto pieniądze otrzymał proboszcz, który i tak uchodził za człowieka bardzo bogatego.

Myszę, że nie czuł wyrzutów sumienia nasz proboszcz!

Gdy skończyłam 10 lat i przeszłam do 5-tej klasy szkoły ludowej, przenieśliśmy się do miasta. Do szkoły mnie więcej nie zapisano, i myślę, że zwierzchnicy o mojem istnieniu nie mieli pojęcia, gdyż ani razu nie wymagano, bym w dalszym ciągu uczęszczała do szkoły. To bezwarunkowo też miało swoją przyczynę. Ponieważ mama nie umiała pisać, więc moim obowiązkiem było wypełniać kartę meldunkową dla policyi. Powinnam siebie była, naturalnie, wносить w rubrykę: dzieci, że już jednak do nich się nie zaliczałam, więc rubryka ta została nie wypełnioną i ja nie byłam zameldowaną w policyi. Inni też nie zwracali uwagi na to opuszczenie. „Jesteś już dorosłą dziewczyną i musisz dużo zarabiać“, mówiła mi moja matka. Jak chętnie bym się jeszcze uczyła! Moim ideałem było zostać nauczycielką, jednak, dziesięć lat mając, zrozumiałam, że jest to tylko fantazja, o której nawet myśleć nie wolno! Zamieszkivaliśmy ciemny kąt w małym pokoju starych małżonków; w jednym z łóżek sypiali małżonkowie, w drugim zaś — ja z matką. Oddano mnie do rzemiosła, gdzie uczono mnie szydełkować chustki; za 12-godzinną pilną pracę płacono mi 20—25 grajcarów dziennie. Gdy zabierałam robotę do domu na noc, udawało mi się zarobić kilka grajca-

rów więcej. O szóstej z rana, gdy musiałam spieszyć do zajęcia, inne dzieci w moim wieku spały jeszcze, a gdy o 8 wieczór wracałam zmęczona, tamte inne, nakarmione i wypiełgnowane, udawały się na spoczynek. Podczas gdy ja, zgięta w łuk, podrabiałam oczko do oczka, tamte bawiły się, chodziły na spacer lub siedziały w szkole. Uważałam wtedy los swój za sprawiedliwy, jedno tylko miałam gorące życzenie: by mózż się choć raz dobrze wyspać. Chciałabym spać, aż bym się sama obudziła, to było mojem najpiękniejszym marzeniem. Gdy zaś później mogłam spać długo, nie było to już szczęściem dla mnie, gdyż powodem tego było bezrobocie lub choroba. Jak często podczas mroźnych wieczorów zimowych, gdy palce kostniały mi tak, że nie była w stanie igły w nich utrzymać, kładłam się spać z myślą, że nazajutrz będę musiała jeszcze wcześniej wstać. Matka, zbudziwszy mnie raniutko, przysuwała do łóżka krzeselko, bym mogła nogi grzać, a ja szydełkowałam dalej aż do wieczora. W późniejszym wieku często odczuwałam wielkie rozgoryczenie z tego powodu, że z czasów dzieciństwa nie miała ani jednego świetlanego wspomnienia.

Stara para małżeńska, u której zamieszkivaliśmy, była o bardzo podejrzanym charakterach. Kobieta żywiła się z tego, że przepowiadała dziewczętom i młodym kobietom przyszłość

z kart. I mnie odsłoniła rąbek mej przyszłości, którą odmalowała najpiękniejszymi kolorami. Naturalnie, główną rolę w mej przyszłości odgrywał mężczyzna i to bogaty mężczyzna. Kobieta ta mogła wpłynąć na mnie fatalnie. Prawiła mnie, dziesięcioletniej dziewczynce komplimenta, stroiła mnie we wstążki i karmiła łakociami. Zapewniała mnie, że nigdy mi na tem zbywać nie będzie, jeśli tylko matka nie będzie nic o tem wiedziała. Namawiała mnie do wielu rzeczy, których jednak nie odważyłam się spełniać, gdyż wydawały mi się niesłusznymi.

Na szczęście, matka moja była niedowierzającą i wynajęła pokój oddzielny. Młodszy brat znów wrócił do nas i sprowadził kolegę, z którym dzielił łóżko. Cztery więc osoby znajdowały schronisko w jednym pokoju, który nawet okien nie miał, a otrzymywał światło przez szyby we drzwiach. A gdy jedna znajoma służąca straciła miejsce, przyszła też do nas, sypiała w jednym łóżku z mamą, ja zaś leżałam u jej nóg, a własne nogi wspierałam na przystawionem do łóżka krześle.

Rok cały szydełkowałam rzeczy z wełny i poznałam masę warsztatów tego rodzaju, bo gdy słyszeliśmy, że w jakimś z nich płacono choć jednego grajcara za chustkę więcej, musiałam tam podążać. W ten sposób byłam coraz to w nowem otoczeniu, widziałam coraz nowych

ludzi i nie mogłam się do żadnego miejsca przyzwyczaić. Dzięki takiej wędrowce znałam wiele rodzin i ich stosunki. Dochody z wyzysku młodych dziewcząt stanowiły wszędzie podstawę utrzymania. Często pracowałam u żon urzędników lub subjektów handlowych, którzy tylko dzięki wyzyskowi naszej siły roboczej, mogli wieść tryb życia odpowiadający ich stanowisku. Ja byłam wszędzie najmłodszą i by ze względu na mą młodość, nie płacono mi jeszcze mniej, podawałam się za starszą, co przychodziło mi z łatwością, gdyż byłam nad wiek dużą i poważnego usposobienia. Zresztą musiałam uchodzić za starszą, gdyż inaczej mogliby mnie zdradzić, że nie chodzę do szkoły.

Miałam rok dwunasty, gdy matka znalazła dla mnie nowe zajęcie. Miałam się więc nauczyć rzemiosła, które mogło być dobrze płacone przy pracowitości i wielkiej zręczności. Znowu mogłam być uczenicą tylko, z powodu młodego wieku. U jakiejś krewnej musiałam 12 godzin dziennie wyrabiać z pereł i sznurów jedwabnych ozdoby dla damskiej konfekcji. Nie otrzymywałam za to stałej zapłaty, gdyż krewna moja obliczała przy każdym nowym artykule, ile zdążyło się zrobić w przeciągu godziny i płaćta wtedy za godzinę pięć grajcarów; jeśli zaś doszło się do większej zgrabności, a z tem do możliwości większego zarobku, — zmniejszała zapłatę.



Pracowano bezustannie, nie pozwalając sobie ani chwili wypoczynku. Każdy, który osądzić może, co to znaczy pracować 12 godzin dziennie, bezwątpienia zgodzi się, że jest to nad siły człowieka dorosłego, a cóż dopiero dziecka! Z jakim upragnieniem spoglądałam na zegar, gdy pokłute palce już bardzo dawały się we znaki i czułam zmęczenie w całym ciele! Gdy zaś wracałam wreszcie do domu, w piękny dzień letni, lub podczas surowej zimy, musiałam jeszcze brać robotę ze sobą. Cierpiałam przytem bardzo wiele, gdyż ta praca pozbawiała mnie jedynej przyjemności — czytania.

Czytałam chętnie. Czytałam bez wyboru wszystko, co mogłam dostać, co pożyczali mi znajomi, też nie mogący odróżnić odpowiedniej od nieodpowiedniej książki; wszystko, co mogłam pożyczyć u antykwaryusza z przedmieścia za opłatą dwóch grajcarów, które od ust sobie odejmowałam. Powieści z życia Indyan, romanse, roznoszone przez kolporterów, pisma rodzinne — wszystko przynosiłam do domu. Obok romansów zbójceckich, które czytałam najchętniej, zajmowały mnie także losy nieszczęśliwych królowych. Obok „Rinalda Rinaldini“ (który był moim ulubieńcem), była „Katarzyna Kornaro“; obok „Róży Sandor“, „Izabella Hiszpańska“, „Eugenia Francuska“, „Marya Stuart“ i inne. „Biała

dama pałacowa“ z Wiednia, wszystkie romanse cesarza Józefa, „Bohaterka z Wortu“, „Syn królewski i córka kąpielowego“, wszystkie te książki dostarczały mi wiadomości historycznych. Potem następowały jezuickie romanse, jeszcze później te stutomowe romanse, w których biedna dziewczyna, po zniesieniu okropnych męczarni została hrabiną lub co najmniej żoną fabrykanta lub kupca. Żyłam jakby w chaosie jakimś. Połykałam zeszyt po zeszytcie; byłam daleką od rzeczywistości i porównywałam siebie do bohaterek romansów. Powtarzałam za nimi wszystkie wyrazy, jakie wymawiały, odczuwałam z nimi ich strach, kiedy ich zamuroywano, grzebano żywcem, truto lub zabijano sztyletem. Byłam myślą w zupełnie innym świecie; nie widziałam nędzy koło siebie, ani też nie pojmowałam własnej nędzy. Matka nie umiała czytać, książki więc, czytane przeze mnie, nie były nigdy kontrolowane. Mając lat trzynaście, czytałam Paul de Kocka; jednak zostawałam tak naiwną po przeczytaniu francuskich opowiadań, że opowiadałam je dalej z najdrobniejszymi szczegółami i nie mogłam pojąć, dlaczego brat i jego kolega śmiali się, gdy ja nie znajdowałam w tem nic wesołego. Jedno miejsce dotychczas pamiętam: Markiz uprowadził dziewczynę w krzaki; poczem następowały mniej więcej takie wyrazy: „Gdy znowu stamtąd wyszli, dziew-

czyna błada, chwiejąc się, poszła dalej. Ostatni wzrok rzuciła na to miejsce, gdzie straciła swą niewinność“. Jak głośno śmiali się obaj, gdy ja nie mogłam pojąć o co chodzi. Opowiadać musiałam bardzo wiele, gdyż opowiadałam dokładnie, a dialogi powtarzałam prawie dosłownie, jakbym się ich uczyła na pamięć. Dzięki opowiadaniom, byłam niemal sławną. Często w niedzielę wieczór musiałam chodzić do mojej mistrzyni i tam opowiadać; w domu, gdzieśmy mieszkali, zapraszano mnie często, bym opowiadała, a matka i brat sprawiali mi wprost męczarnie swą ustawiczną chęcią słuchania mnie. Gdy już wszyscy byli w łóżkach, musiałam opowiadać; tamci wreszcie zasypiali, ja jedna tylko nie mogłam zasnąć i rozdrażniona leżałam w łóżku, przyczem nie wolno mi było poruszyć się, by nie przebudzić matki. A mogłabym przecie użyć czas ten na czytanie, gdy nie miałam innego zajęcia.

W niedzielę, gdy przed obiadem pomagałam w naszym skromnym gospodarstwie, czytałam bez przerwy, aż zmrok zapadał. Latem zabierałam książki na cmentarz i całymi godzinami siedziałam spokojnie pod wierzbą płaczącą, nie zwracając uwagi na nic. O! jak nienawidziłam robót niedzielnych, gdy je czasem zmuszoną byłam wykonywać. Taki dzień uważałam za stracony i nawet lepsza kolacja i kieliszek wina lub szklaneczka piwa, które

otrzymywałam jako odszkodowanie, nie mogły mnie zadowolnić.

Przez dwa lata byłam w terminie i podczas tego czasu doznałam wiele zmartwień, których gorycz i nielitość tembardziej odczuwałam, gdyż znosiłam je ze strony krewnych. Byłam czemś w rodzaju Kopciuszka. W sobotę musiałam zwykle robić wielkie sprzątanie i jeszcze teraz wzdrygam się na samo wspomnienie tego, co mi robić kazano i jak mnie przytem traktowano. Z daleko położonej studni publicznej musiałam w ciężkich wiadrach drewnianych dźwigać wodę. Nie było wtedy jeszcze wodociągów w domach i nawet nie marzyłam o tem, że będzie kiedyś taka wygoda. Często obcy ludzie litowali się nademną i pomagali mi dźwigać te ciężary. Krewni moi trzymali się tej zasady, że muszę się do wszystkiego przyzwyczajać, gdyż — powtarzali często — nie będziesz przecie wielką panią.

Nienawidziłam tych ludzi, a jak dopiero nienawidziłam ich dwoje dzieci, które wypróbowywały całą swoją złość na mnie, na jaką były zdolne. Wyśmiewały się z mojej biedy, cieszyły się, że musiałam latem chodzić boso, co mnie samą bardzo bolało. Że jednak miałam tylko kilka kroków, matka uważała za zbyt ciężkie noszenie bucików w dniu powszednie przez tak młode stworzenie. Rzemiosło, którego się nauczyłam, bardzo zależało od pór



roku; były więc w roku dwa razy takie czasy, kiedy było mało lub wcale nie było zajęcia. Matka starała się gdzieindziej umieszczać mnie podczas tych przerw; ja sama musiałam szukać zajęcia. Czytałam wtedy wszystkie szyldy na sklepach, a gdzie, jak mi się zdawało, potrzebna była dziewczynka, wchodziłam. To było najtrudniejsze. To stereotypowe pytanie: „Proszę bardzo, chciałabym pracować“, i upokarzające uczucia, jakiego wtedy doznawałam, gnębią mnie jeszcze dotychczas, gdy nieśmiało, acz z nadzieją prosiłam o robotę. Często musiałam wprawdzie polykać cisnące mi się do oczu gorące łzy, nim zaczynałam mówić. Pewnego razu, miałam już wtedy 13-cie lat i wyglądałam prawie jak dorosła, przyszłam podczas poszukiwań pracy do kantoru fabryki wyrobów bronzowych. Stary, niski pan, właściciel fabryki, sam wypytywał mnie o nazwisko, wiek i okoliczności życia rodzinnego i zamówił mnie na następny poniedziałek. Zasiadłam między dwunastoma młodemi dziewczętami i wreszcie dostałam się do ciepłego mieszkania. Pokazano mi, jak powinnam łączyć ogniwa łańcuszków i prędko wprawiłam się. Właściciel był dla mnie przychylny, bo i tu byłam najmłodszą robotnicą, i wkrótce zarabiałam więcej, niż u mojej krewnej. W ten sposób nauka

w terminie została zupełnie zaniedbaną, gdyż nowe rzemiosło okazało się korzystniejszym.

Dziesięć miesięcy pracowałam bez przerwy w fabryce wyrobów bronzowych. Dostałam wtedy ładniejsze, podług mych pojęć suknie, kupowałam sobie przyzwoite obuwie i wiele innych rzeczy, niezbędnych dla porządnego wyglądu. Mój zwierzchnik lubił mnie bardzo i wolał, niż inne dziewczęta. Obchodził się ze mną zupełnie po ojcowsku i pomagał mi wytrwać w mem postanowieniu pozostania obcą tym rozrywkom, które sprawiały przyjemność mym współpracownikom.

Dziewczęta w niedzielę chodziły tańczyć i później opowiadały o tem. Podczas przerw w zajęciach gawędziły z robotnikami, aczkolwiek nie rozumiałam sensu tych rozmów, czułam jednak, że nie powinni tak mówić. Często wyśmiewano mnie z powodu mej samotności, że zaś zawsze byłam gotową do opowiadań, nie unikano mnie jednak. Po upływie kilku miesięcy pokazano mi inne zajęcie, jeszcze lepiej opłacane, było jednak więcej natężające. Musiałam spajać przy miechu, wprowadzanym w ruch gazem, co bardzo nie służyło mi. Twarz bladła mi coraz bardziej, ogarniała mnie jakaś dziwna niemoc, często doznawałam zawrotu w głowie i musiałam szukać oparcia z powodu osłabienia.

Inny wypadek bardzo mnie wtedy zaniepo-

koił. Wspomnialam już raz, że mieszkaliśmy nie same, a z kolegą brata. Ten brzydki, ospowaty i małomowny człowiek zasypywał mnie grzecznościami. Często przynosił mi niewinne podarunki, jak pieczywo i owoce. Dostarczał mi też książki. Nie mogło to być podejrzanem ani dla mnie, ani dla matki. Miałam wtedy dopiero czternaście lat. Pewnego wieczoru świątecznego nasz lokator powrócił sam i udaliśmy się na spoczynek, nie oczekując powrotu brata. Położyłam się obok matki, przyciśnięta do ściany. Widocznie nie spałam jeszcze mocno, gdy wtem zerwałam się z okrzykiem przestachu. Poczułam nad sobą czyjś gorący oddech, a w ciemności nie mogłam odróżnić, kto to mógł być. Krzyk mój obudził matkę, która natychmiast zapaliła światło i zrozumiała sytuację. Oto lokator którego łóżko opierało się o nasze wezglowie, wstał z pościeli i nachylił się nademną. Drżałam całym ciałem z obawy i strachu i choć nie miałam jasnego wyobrażenia o zamiarach tego człowieka, przeczuwałam jednak coś złego. Matka moja czyniła mu wyrzuty, na które prawie nic nie odpowiadał. Gdy powrócił brat, któregośmy oczekiwały nie śpiąc, powtórzyła się gwałtowna scena i odmówiono gościny koledze brata. Nie nastąpiło jednak to, czego pragnęłam i oczekiwałam: nie wydalono go natychmiast, a dano mu tydzień czasu, by mógł znaleźć inny nocleg i by nie opuszczał

nas z takim wstydem. Wiele cierpiałam z powodu tego niepojętego dla mnie pobłażania dla tego człowieka. Bałam się zasypiać, a gdy wreszcie sen mnie zmożył, trapiły mnie najokropniejsze sny. Z obawy zaciskałam ręce naokoło szyi mej matki, by się tak uchronić. Gniewano się na mnie, nazywano mnie przesadną, składano winę na romanse, czytane przeze mnie i zabraniano mi czytać cokolwiek. W kilka tygodni po tym okropnym dla mnie wypadku zapadłam w ciężkie omdlenie. Gdy przy pomocy lekarskiej odzyskałam przytomność, dręczyły mnie straszne obawy. Lekarz uznał stan mego zdrowia za ciężki i stwierdził chorobę nerwową. W klinice, dokąd mnie odesłano, rozpytywano o tryb życia mojej rodziny i stwierdzono, że nadmierne używanie alkoholu przez ojca mojego tak ujemnie wpłynęło na moje zdrowie. Doktorzy zalecili mi ruch na świeżem powietrzu i dobre odżywianie, gdyż byłam bardzo wycieńczoną i małokrwistą. Takie były środki lecznicze, zalecone przez znakomitego lekarza kliniki. Jak mogłam się do nich stosować?

Wszystko, co znosiłam dotychczas — nędza, praca i choroba, wszystko to było niczem w porównaniu z tem, co miałam przeżyć później. Miałam więcej nie wracać do fabryki wyrobów bronzowych, gdyż to zajęcie było dla mnie trującą, jak twierdzili lekarze; musiałam więc

znowu szukać zajęcia, jak tylko przyszedłam cokolwiek do siebie. Żyłam jednak w ciągłej obawie. Bałam się na krok wyjść sama, myśląc, że znowu padnę zemdlona. Najgorętszym moim pragnieniem było — mózż umrzeć. Jednak musiałam szukać zajęcia; gdy znalazłam pracę i byłam pół dnia zajęta, zapomniałam o strachu. Porę obiadową przepędzałam teraz w parku, miałam bowiem używać dobrego powietrza i zabierałam też mój obiad — owoce i kawałek chleba lub kiełbasę — tą „zdrową żywność“, zaleconą przez lekarzy. Żywność moja była teraz jeszcze skromniejszą, byłam przecież kilka tygodni bez zajęcia, a doktor, zawezwany w pierwszej chwili przestraszu i apteka, musiały być spłacone. Obowiązkowych kas dla chorych jeszcze wtedy nie było.

W fabryce wyrobów brązowych nie powinnam była więcej pracować, gdyż to zajęcie podrywało moje zdrowie; obecnie znalazłam zatrudnienie w drukarni metalowej, gdzie miałam do czynienia z prasą, przy której musiałam jako ostatnia robotnica, dźwigać z piwnicy materiały palny, wciąż gnana obawą, że zemdleję od chodzenia po złych schodach. Byłam tam tylko kilka dni i nie można mnie było zmusić do pójścia tam dalej. Później pracowałam w fabryce patronów. Po trzytygodniowej pracy w tej fabryce, gdy w obiadowej porze szłam do domu, podtrzymywali mnie przechodnie, wi-

dząc jak zaczynałam chwiać się i mdleć. Kiedy przychodziłam do siebie, odprowadzono mnie do domu, ku wielkiemu przerażeniu mej matki. Błagałam ją, by oddała mnie do szpitala, gdzie miałam nadzieję wyzdrowienia, o ile to jeszcze było możebne.

Trzy tygodnie spędziłam w szpitalu i chociaż to brzmi paradoksalnie, był to najlepszy czas w mem życiu, jakiego doznałam do tej pory. Wszyscy obchodzili się ze mną dobrze: lekarze, pielęgniarki i chorzy. Otrzymywałam regularnie jedzenie, miałam oddzielne łóżko i czystą bieliznę.

Staralam się być pożyteczną; zajmowałam się ręczną robotą i dostawałam książki od doktora. Wtedy po raz pierwszy poznałam dzieła Fryderyka Szyllera i Alfonsa Daudet. Ze wszystkich utworów dramatycznych Szyllera najwięcej podobała mi się „Narieczona z Messyny“, a z opowiadań Daudet’a największe wrażenie sprawiło na mnie: „Fromont młodszy i Risler starszy“.

Cztery tygodnie znajdowałam się w najlepszym otoczeniu, pod opieką lekarzy. Potem wypisano mnie jako uzdrowioną. Ani razu nie wydarzyło mi się coś w szpitalu; zawsze czułam się dobrze. I oto znowu musiałam szukać zajęcia. Wrócił strach, jak tylko sama wyszłam na ulicę. Nie mogłam jednak nic znaleźć. Wczesnym rankiem wychodziłam



z domu, by być pierwszą przy bramie, jednak zawsze napróżno.

Matka, która od czasu mej choroby była bardzo czułą względem mnie, nazywała mnie swoim biednym, nieszczęśliwym dzieckiem i wzruszona odpowiadała na uściski, które przedtem odrzucała, teraz była złą, że tak dawno nic nie zarobiłam. Musiała się przecież tak męczyć. Dzień za dniem bez wytchnienia pracowała. Miała zajęcie w tkalni, a od trujących farb miała zranione palce i jątrzące się wrzody na rękach; znosiła jednak wszelki ból i mężnie trwała w swem złe płatnem zatrudnieniu. Nie była już wcale młodą. Mając lat 47, wydała mnie na świat, piętnastą z rzędu, miała zatem 61 rok, a w całym życiu nie zaznała ani jednego dnia wypoczynku. Gdy nie miała innego zajęcia, roznosiła po domach towar, by zarobić na dzienne utrzymanie; duma jej nie pozwalała być winną za mieszkanie lub cośkolwiek innego. Był to oryginalny rys jej charakteru — żeby nie być od kogoś zależną. Oto miała dorosłą córkę, która powinna była być jej podporą, i córka ta nic nie zarabiała. Czyniła mi gorzkie wyrzuty, łajała mnie; ona sama zawsze musiała wynaleźć środek zarobkowania, ja więc też powinnam była to umieć.

Znajdowałam różnorodne roboty. Byłam w fabryce kartonaży, w fabryce obuwia,

u frendlarki, w zakładzie gdzie szale tureckie upiększano zielonym kolorem i w wielu innych miejscach próbowałam zajęcia. Dla niektórych z tych zajęć miano mnie za niezdolną, innym znów razem słyszałam o pracy korzystniejszej, porzucałam dawną i szukałam nowej. Minęły trzy tygodnie, po których znowu nastąpiły zawroty głowy, a później ciężkie zemdlenie. Znowu wróciłam do szpitala; byłam tak słabą i wycieńczoną, że zwracałam ogólną uwagę na ulicy. Musiałyśmy często zatrzymywać się w bramie, bym mogła na stopniach schodów odpocząć. Drżąc, przyszedłam do szpitala: pierwszy obiad, który otrzymałam, zwróciłam, ale po kilku dniach wszystko było dobrze. Znowu odżywiałam się dobrze i miałam wygody, których dotychczas nie znałam. Stało się wtedy coś takiego, czego całą zgrozę byłam w stanie dopiero w późniejszym wieku ocenić.

Pewnego dnia powiedziano mi, że nie ma już dla mnie ratunku, że nie ma nadziei wyzdrowienia i być zdolną do pracy, muszę zatem być umieszczoną w innym zakładzie. Musiałam się ubrać, wsiąść do karetki szpitalnej i po kilku minutach znalazłam się w kancelaryi domu dla biednych. Miałam wtedy 14 lat i 4 miesiące. Nie pojmowałam wtedy zgrozy mego położenia, płakałam tylko bezustannie, widząc otoczenie, w jakim teraz

znaleźć się miałam. W dużej sali, gdzie łóżka stały rzędem i gdzie znajdowały się tylko stare kaleki-kobiety, wskazano i mnie łóżko i szafę. Stare kobiety kaszlały i miały ataki duszności, niektóre były bardzo nerwowe i mówiły jakoś dziwnie. W nocy nie mogłam zasnąć, gdyż znowu okropnie się bałam; starszki też były niespokojne i zostawały w swych łóżkach. Jedzenie było też daleko nie takie smaczne, jak w szpitalu; nie miałam tam żadnego zajęcia, żadnej robotki ręcznej i nikt nie opiekował się mną. W rozległym ogrodzie szukałam samotnych miejsc, by móc się wypłakać. Po upływie pięciu dni zaprowadzono mnie do zarządu, gdzie mnie zapytano, czy nie mam kogo, kto mógłby się mną opiekować; tutaj bowiem nie mogłam zostać, gdyby zaś nikt mnie nie wziął, miano mnie odesłać do gminy rodzinnej.

W mojej „gminie rodzinnej“ nie byłam nigdy; nie rozumiałam nawet narzecza, jakim tam mówiono. Było mi bardzo smutno i znowu zawładnęła mną myśl, gdyby też mógł umrzeć. Wyjąkałam, że mam matkę, pracującą i że ja sama od dziesiątego roku pracowałam. Dano mi kartę, na której musiałam napisać, żeby mnie matka zabrała, gdyż inaczej wyślą mnie do Czech. Następnego dnia wracałam do domu z biedną moją matką, której nie chciano ulżyć w biedzie. W późniejszych latach często zapy-

tywałam siebie, co by też ze mnie było, gdyby mnie wysłano do stron rodzinnych. Zaczęłam myśleć o występem, szablonowem postępowaniu biurokracyi, która mnie, dziecko od najmłodszych lat wycieńczone przez głód i pracę, chciała umieścić w domu dla starców i kalek, lub też rzucić na pastwę okropnego, niepewnego losu, gdyby na przeszkodzie nie stanął rozsądny urzędnik.

Często byłam rozgoryczona później, gdy wspominałam przeszłość i mówiłam sobie, że dzięki tylko prostemu przypadkowi, zostałam znowu pracowitą i zdolną dziewczyną, później zdrową kobietą, i nie wepchniętą w otoczenie, gdzieby mnie uważano za obcą. Gdyby mnie podczas spacerów w ogrodzie nie był spostrzegł urzędnik, którego zadziwiła moja młodość, gdyby mnie nie był wypytywał o wszystko, byłabym zapewne wiele ciężkich przeżyć przeżyć musiała. Więc byłam znowu w domu i miałam teraz zostać szwaczką.

\* \* \*

Miałam się uczyć jeden miesiąc i matka chętnie zapłaciła za naukę, spodziewając się że stworzy mi teraz lepszą przyszłość. Znowu przyszedłam do majstrowej, która zatrudniała kilka dziewcząt. Małżonek nic nie zarabiał, większość czasu spędzał w kawiarni, a obowiązek utrzymania zdał na żonę. Żona zaś



bezlitośnie wyzyskiwała dziewczęta. W przeciągu czterech tygodni powinnam była nauczyć się szyć bieliznę; cóż jednak robiłam zamiast tego? Matka moja, by mi dać możliwość nauczenia się nowego rzemiosła, uczyniła ofiarę dla jej warunków wprost niemożliwą: starała się, bym była porządnie ubrana, zapłaciła z góry za naukę i karmiła mnie przez cztery tygodnie. A ja? Byłam niańką; nie czułam już swych rąk od noszenia małego dziecka mej nauczycielki. Godzinami musiałam spacerować, żeby innych nie ogłuszał krzyk dziecka. Chodziłam po zakupy, zmywałam naczynie i spełniałam inne czynności, które z nowym rzemiosłem nic wspólnego nie miały. Dopiero na początku czwartego tygodnia nauczyłam się dziergać dziurki, obrębiać, wyciągać fastrygi i wreszcie usiadłam przy maszynie, by spróbować pierwszych ściegów na papierze. Umiałam poruszać pedał maszyny i to miał być środek, przy pomocy którego miałam zarobić na swoje utrzymanie i zwrócić matce to, co dla mnie wydała.

Dobra nauczycielka nie miała jednak zamiaru pozwolić mi pracować u niej, bym przynajmniej teraz mogła nauczyć się tego, czego się przedtem nie nauczyłam. Teraz szło jej o to, by dostać inną niańkę dla swego dziecka i by jej za to jeszcze płacono. Z wymówką, że dla braku roboty nie może mnie zatrudnić, od-

prawiła mnie. Matka nie chciała na to się zgodzić, wymagała pieniędzy z powrotem, lub przedłużenia nauki. Jednak każda godzina, którą traciła dla tych sprzeczek, była stratą dla pracy i dla zarobku.

Musiałam więc zacząć poszukiwania, by znaleźć zajęcie szwaczki. Mogłam wprawdzie znaleźć zajęcie, ale skoro tylko brałam robotę do ręki, widziano, że nic nie umiem i na tem się kończyło. Byłam zmuszona brać się do takiego zajęcia, jakie znajdowałam. Matka pomówiła z krewną i że miałam u niej długotrwałe zajęcie, zaczęłam u niej pracować. Rok ten był jednak bardzo zły, ponieważ mody damskie rozwijały się w zupełnie innym kierunku. Martwy sezon, który dopiero na Boże Narodzenie ożywił się cokolwiek, zaczął się już w listopadzie. Z początku skrócono pracę tylko o kilka godzin dziennie; ale cztery tygodnie przed Bożem Narodzeniem zupełnie zaprzestano pracować. Wróciłam więc do domu, a miałam przecież wtedy już blisko 15 lat. Zaczęły się więc znowu moje codzienne wędrówki. Było nam wtedy okropnie źle, gdyż jeszcze jeden członek rodziny był bez zajęcia. Podczas gdy młodszy brat był powołany do wojska, starszy powrócił z koszar. Był ogołocoony prawie z najniezbędniejszego, nie miał ani grajcara, posiadał przytem wilczy apetyt. A było tak trudno znaleźć

jakiegokolwiek zajęcie, choć zabrałby się do każdego. Pracował od czasu do czasu, nie znajdował jednak nic stałego. A miał nam być podporą! Jak cieszyliśmy się z jego powrotu! I oto leżał ten silny i zdrowy człowiek, który trzy lata służył cesarzowi i ojczyźnie, a teraz musiał przyjmować nędzne utrzymanie od matki staruszki i siostry, jeszcze prawie dziecka!

Wtedy nie myślałam o tem naturalnie; byłam dumną z tego, że bracia są zdolni do służby cesarzowi i na wypadek wojny będą w stanie bronić ojczyzny. W tym ciężkim czasie przedsiębraliśmy wszystko, co radzono mej matce. Ja musiałam pisać podania do cesarza, do arcyksiążąt, którzy uchodzili za wielkich dobroczyńców, i do innych bogatych „dobroczyńców“. Jak już wspomniałam, matka nie umiała czytać ani pisać, podania więc pisałam na swój sposób. Zaczynałam zawsze według jednej i tej samej formy: „Ponieważ matka nie umie pisać, a nam jest bardzo źle“... Otrzymałyśmy od cesarza pięć guldenów, i taką samą sumę od arcyksięcia i pewnego bogatego dobroczyńcy, którego sekretarz przyszedł do nas sprawdzić nasz stan. Większość tych pieniędzy poszła na to, by sprawić bratu niezbędną odzież. Z czego miałyśmy żyć? Matka zarabiała cztery guldeny, które miały wystarczyć na utrzymanie trzech

osób. Za jakąkolwiek bądź cenę musiałam znaleźć pracę; następujących zdarzeń nie zapomnę nigdy, to też nie było ani jednego roku od tego czasu, żebym tej wigilji nie wspominała.

\* \* \*

Była bardzo surowa śnieżna zima i w naszym mieszkanku był ciągły mróz. Gdyśmy zrana chcieli wyjść, musieliśmy przedtem odgrać lód ode drzwi, gdyż wejście do nas było wprost z podwórza opatrzone tylko szklanymi drzwiami. Matka wyszła z domu o wpół gdyż o szóstej rozpoczęła pracę. W godzinę później i ja poszłam szukać pracy. Niezliczoną ilość razy powtarzałam wtedy: „Proszę bardzo o zajęcie!“ Prawie dzień cały byłam na ulicy. Palić w domu byłoby rozrzutnością, więc wędrowałam się po ulicach, kościołach i cmentarzu. Dostałam ze sobą kawałek chleba i kilka grajcarów, by sobie coś kupić na obiad. Z siłą powstrzymywałam się od płaczu, gdy mi odmawiano i musiałam wychodzić z ciepłego mieszkania. Z jaką chęcią spełniałabym wszelakie zajęcie, bym tylko nie potrzebowała tak marznąć. Suknie moje mokre były od śniegu, a członki skostniałe, gdy całymi godzinami tułałam się po ulicach.

Na domiar, matka była coraz bardziej zniechęconą, brat znalazł zajęcie — napadał śnieg

i dano mu pracę, — wprawdzie za tak małe wynagrodzenie, że ledwie mógł wyżywić siebie samego. Ja jedna tylko nie miałam roboty.

Nawet w fabryce cukierków, gdzie mi obiecano, że przed Bożym Narodzeniem potrzebują wiele rąk roboczych, nie otrzymałam zajęcia. Dziś wiem, że cała prawie robota świąteczna bywa wykonywana na kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem; wówczas robotnice pracują w dzień i w nocy i dopiero przed samymi świętami bywają zwalniane. Nie miałam jeszcze wyobrażenia, jak przechodzi proces produkcyjny. Jak religijnie, z jaką wiarą modliłam się w kościele o pracę! Wyszukiwałam szczególnie znanych świętych. Szłam od ołtarza do ołtarza, klęczałam na zimnych stopniach kamiennych i zanosłam modły przed Dziewicę Maryję, Matkę Bożą, Królowę Niebios i wielu innych świętych, których mają za wszechmocnych i miłosiernych.

Nie traciłam nadziei i postanowiłam pewnego dnia rzucić moje grajcare, za które miałam kupić obiad do puszek ofiarnej dla „św. Ojca“. Tego samego dnia znalazłam woreczek z dwunastoma guldenami. Nie posiadałam się z radości i dziękowałam wszystkim świętym za to miłosierdzie. Nie przyszło mi na myśl, że może jaki inny biedny człek wpadł w rozpacz z powodu tej zguby. Dwanaście guldenów było dla mnie tak wielką kwotą, że nie

mogła nawet przypuścić, żeby je mógł zgubić biedny jakiś człeczyna. Nie wiedziałam też nic o obowiązku zawiadomienia policyi. Widziałam tylko w znalezionym woreczku, leżącym przy drodze, miłosierną rękę moich świętych. Tego wieczora z wielką radością padłam matce na szyję i nic więcej wydostać z gardła nie mogłam jak: „dwanaście guldenów, dwanaście guldenów!“...

Wielka radość panowała w naszym mieszkaniu, i, jakgdyby dla uzupełnienia szczęścia, przyjęto mnie do fabryki papieru szmirglowego, gdzie kilka dni przedtem prosiłam o zajęcie i gdzie sobie zanotowano moje nazwisko.

\* \* \*

Nowa pracownia znajdowała się na trzecim piętrze domu, gdzie były tylko przemysłowe przedsiębiorstwa. Dotychczas nie znałam jeszcze trybu życia w wielkiej fabryce, jednak nigdy nie czułam się tak źle jak tutaj. Wszystko niepodobało mi się. Brudna, klejąca się robota, nieprzyjemny pył szklany, mnóstwo ludzi, ordynarny ton i obejście dziewcząt a nawet kobiet zameżnych.

Fabrykantka, czyli wielmożna pani, jak ją nazywano, była kierowniczką fabryki i mówiła zupełnie jak dziewczęta. Była to ładna kobieta, lecz piła gorzałkę, zażywała tabakę i nieprzy-



zwoicie żartowała z robotnicami. Gdy zaś przychodził czasem fabrykant, człowiek chorowity, zawsze odgrywała się okropna scena.

Lubiłam go bardzo. Wydawał mi się dobrym i delikatnym, a z obejścia i z sposobu życia jego żony, zdawał się być także nieszczęśliwym. Na jego rozkaz otrzymałam inne o wiele przyjemniejsze zajęcie. Do tego czasu musiałam rozwieszać papier, posmarowany gliną i posypyany szkłem, na dość wysokich sznurach w sali. To zajęcie męczyło mnie bardzo, fabrykant musiał również zauważyć, że nie jest to odpowiednie dla mnie, gdyż od tego czasu przeznaczył mnie do liczenia papieru, potrzebnego do wyrobu.

Ta robota była czystą i podobała mi się o wiele więcej. Jednak gdy nie było co liczyć, musiałam spełniać inne czynności. Fabryka była dość daleko od mego mieszkania i nie mogłam chodzić do domu na obiad. Zostawałam w sali razem z innymi robotnicami, z restauracyi przynosiłyśmy sobie zupę lub jarzynę, a kawę na podwieczorek zawsze miałyśmy ze sobą. Zasiadałam w kąciку i czytałam. Wtedy zajmowało mnie dzieło składające się z 100 zeszytów, był to: „Zbójca i jego dziecko“. Inni śmiali się ze mnie i wykpiwali moją „niewinność“ gdyż nic nie rozumiałam z ich rozmów. Często mówiono o jakimś panu Berger, wojażerze firmy, którego teraz oczekiwano z powrotem. Wszystkie

robotnice bardzo go lubiły i byłam ciekawą zobaczyć tego pana. Byłam dwa tygodnie we fabryce, gdy on przyjechał. Wszystko było w poruszeniu, nie mówiono o niczem innym, jak o wyglądzie podziwianego wojażera. Z panią przyszedł do sali, w której pracowałam. Nie podobał mi się bynajmniej. Po obiedzie zawołano mnie do kantoru; pan Berger posłał mnie po coś i zrobił przytem nedorzeczną uwagę o mych „ładnych rękach“. Gdy powracałam, było już ciemno; musiałam przechodzić przez korytarz, który otrzymywał światło tylko przez szklane drzwi z sali, był zatem pogrążony w mroku. Pan Berger znajdował się w korytarzyku, gdy przyszłam. Wziął mnie za rękę i ze współczuciem wypytywał o moje stosunki. Opowiedziałam mu otwarcie o naszej nędzy. On powiedział kilka ciepłych słówek, pochwalił mnie i obiecał wstawić się za mną, bym dostała większą zapłatę. Rozumie się, że była to wielka radość dla mnie, teraz bowiem pracowałam dwanaście godzin dziennie za dwa guldery i pięćdziesiąt grajcarów. Podziękowałam mu i przyrzekłam zasłużyć na jego wyróżnienie. Nim się spostrzegłam, pan Berger pocałował mnie; przestraszony łagodnił powiedzeniem, że był to tylko „pocałunek ojcowski“. On miał wtedy 26, a ja blisko 15 lat.

Skonsternowana mocno pośpieszyłam do

zajęcia. Nie wiedziałam, co myśleć o tem wydarzeniu; pocałunek, podług mnie, poniżał mnie; jednak pan Berger mówił tak tkliwie i obiecał mi większą zapłatę! W domu opowiedziałem o jego przyrzeczeniu; o pocałunku jednak zamilczałam, wstyd mi było.

Następnego dnia jedna z koleżanek, młoda blondynka, która mi była najmilszą ze wszystkich, czyniła mi najokropniejsze wyrzuty. Wyrzucała mi że zajęłam jej miejsce u wojażera, gdyż dotychczas ona jedna spełniała wszystkie jego rozkazy; wśród łez i narzekań, wyznała że on ją kochał, i że teraz wszystko przeze mnie się skończyło. Inne robotnice potwierdzały to, nazywały mnie obłudnicą, i nawet wielmożna pani spytała, jak mi smakowały pocałunki „pięknego wojażera“. Widziały one całą scenę wczorajszą przez szklane drzwi i wytłomaczyły ją tak niekorzystnie dla mnie.

Byłam bezbronną przeciwko tym przymówkom i żartom, i z niecierpliwością wyczekiwałam, kiedy pójdę do domu. Była sobota; gdy dostałam moją zapłatę, poszłam do domu z zamiarem, nie powracania tu więcej. Matka i brat nie zgadzali się na to. Było to dziwne. Matka, która tak starannie wychowywała mnie na uczciwą dziewczynę, która zawsze radziła mi nie mówić z mężczyznami i zapewniała, że tylko ten „który będzie mężem, może pocałować“, matka była w tym wypadku przeciwko mnie. Matka

i brat nazywali mnie przesadną. Pocałunek nie jest niczem okropnem, a gdy w dodatku dostanę większą zapłatę, — byłoby szaleństwem porzucać miejsce. Wreszcie znowu widzieli przyczynę mojej przesady w książkach i matka, rozłoszczona, wyrzuciła za drzwi wszystkie pożyczone dzieła: „Książki dla wszystkich“, „Przez lądy i morza“ i „Kronikę czasów“; Tak już byłam posunięta w literaturze! Później wszystko znowu zebrałam, nie odważyłam się jednak czytać, choć zawsze w sobotę czytałam dłużej.

Smutna była to niedziela! Byłam bardzo przygnębiona, a oprócz tego łajano mnie cały dzień. W poniedziałek zrana zbudziła mnie matka o zwykłej godzinie, i, udając się do zajęcia, napominała by nie robić głupstw, a myśleć o zbliżających się świętach. Wyszłam z domu; chciałam się przewyciężyć i pójść do fabryki: doszłam do bramy domu, a później zawróciłam. Miałam jakiś dziwny strach przed niewiadomem niebezpieczeństwem, że wolałam głodzić się, niż mieć wstyd. Bo wszystko, co było — pocałunek i wyrzuty koleżanek, wydawały mi się wstydem. Opowiadano mi oprócz tego, że zawsze jedna z robotnic miała szczególne względy u wojażera; miłostki te były jednak zmienne: gdy przychodziła nowa robotnica, która mu się więcej podobała zastępowała ona prędko miejsce starej. Według wszelkich pozorów, miałam być



teraz tą wybraną. Bałam się okropnie. Tyle czytałam o uwiedzionych dziewczętach i straconej niewinności, że wyobrażałam sobie najokropniejsze rzeczy. Nie wróciłam więc na miejsce.

Lecz co począć? Z początku szukałam innego zajęcia; byłabym przyjęła wszystko, coby mi dali, ale na kilka dni przed świętami niepotrzebne są nowe siły robocze. Tułałam się po ulicy, a gdy nadszedł wieczór wróciłam o zwykłej porze do domu. Nie miałam odwagi powiedzieć, że nie byłam we fabryce. Następných dni robiłam to samo. Wszystkie zabiegi aby znaleźć jakieś zajęcie były daremne. Bezgraniczna rozpacz ośladnęła mną, później znowu wstępowała we mnie nadzieja, że jakiś przypadek dopomoże mi. Szło tu przecież tylko o dwa guldeny, bo nie był to cały tydzień nawet. Tyle słyszałam o wszechmocy Boskiej, o pomocy w potrzebie, o wynagrodzonej cności i tym podobnych rzeczach, żem wmówiła w siebie, że i dla mnie będzie pomoc. Klęczałam przed ołtarzem, modląc się żarliwie, potem znowu, wyteżając szukający wzrok poszłam na ulicę; mogłam przecie znowu znaleźć woreczek i przynieść więcej pieniędzy, jak oczekiwano. Poszłam, gdzie tłoczyły się kobiety na rynku rybnym, czyniąc zakupy na wieczór.

Choć zawsze wyobrażałam sobie ryby jako

coś wspaniałego, teraz jednak w mej rozpacz, nie miałam żadnej na nie ochoty. Pragnęłam tylko pieniędzy. Dziwne pomysły, przed których wykonaniem wzdragałam się, były w mej głowie. Nastąpiło południe. Ludzie spieszyli ze swymi pakunkami do domu, by osłodzić kochanym i drogim wieczór zimowy. Już wszędzie przerwano robotę i mnie też oczekiwano w domu. Skąd miałam jednak wziąć pieniądze?

W tem błysnęła mi jeszcze jedna myśl. Miałam ciotkę, która służyła u pewnej hrabiny; ciotka ta była dla nas jakąś wielkością; służba u hrabiny tak ją wywyższała w naszych oczach. „Miejska ciotka“ — było w tej nazwie dla nas coś świętecznego i gdy nas czasem odwiedzała, otaczałyśmy ją najgłębszym szacunkiem. Miano ją za bardzo nabożną i parafją, do której należała, dostawała od niej wiele ofiar. Od niej spodziewałam się teraz pomocy. Nie zastałam jej w domu, była w kościele. Szukałam jej tam — już poszła. Klęząc przed ołtarzem błagałam Boga i świętych wśród płaczu i szlochań, by napęłniły serce mej ciotki miłością i pobłażaniem dla mnie. Gdy pomyślę teraz że tylko marne dwa guldeny były mi niezbędne a cała moja troska i rozpacz bezgraniczna rozwiąłyby się, jak mgła. Nic nie wiedziałam jeszcze wtedy o tem, ile pieniędzy wyrzucano niepotrzebnie, ile ludzi żyje w przepychu, gdy inni cierpią nędzę! Wtedy nie wiedziałam jeszcze o tej róż-

nicy, czy też wcale o niej nie myślałam. Myślałam, że wszystko jest postanowione od Boga i że zmienić stanu rzeczy niepodobna. Tych godzin i całej tej boleści mego dzieciństwa i młodości nigdy nie zapomniałam.

Teraz jeszcze choć wiele lat upłynęło od tej pory, nie mogę przejść mimo płaczącego dziecka, nie spytawszy go o przyczynę płaczu. W takich wypadkach wspominam zawsze własne łzy i jak wtedy pragnęłam miłosierdzia! Jeszcze będąc robotnicą oddawałam mój zarobek dzieciom płaczącym, które mi na ulicy opowiadały o swej nędzy.

Nie zaznałam miłosierdzia. Nabożna ciotka, którą wreszcie zastałam w domu, częstowała mnie wprawdzie kawą i ciastem, gdy zaś odważyłam się wypowiedzieć cel mej wizyty, — pozostała srogą i nieubłaganą. Namawiała mnie aby iść teraz do domu, był bowiem wieczór wigilijny i napewno czekano na mnie. Prosiłam ją i płakałam, — została niewzruszona: wspominając słowa świętych, odmawiała mi pomocy; każdy człowiek powinien z pokorą znosić nieszczęście, którego sam jest przyczyną — takie były ostatnie jej słowa. Znalazłam się znowu na ulicy. Mało było przechodniów na ulicy, zato szyby okien jaśniały światłem i mogłam widzieć przez nie niejedną ślicznie wystrojoną choinkę.

W żaden sposób nie chciałam iść do domu.

Cóż miałam powiedzieć? Wyjaśnić wszystko? Postępowanie ostatnich dni wydawało mi się teraz niesprawiedliwem; było niemożliwem przyznać się do tego. Wyobrażałam sobie rozpacz mej biednej, znękaney matki, która musiała liczyć się z każdym grajcarem i która pokładała we mnie tak wielkie nadzieje. Jak mogłam teraz być przyczyną jej bólu i rozczarowania? Mój żal i strach powiększał się z każdą chwilą. O! gdybym się była przezwyciężyła i poszła do fabryki, powtarzałam sobie.

Wszystko zdawało mi się teraz przesadą — mój strach przed wojażerem, wstyd przed robotnicami i troskliwość o moją skromność. Czułam tylko, jak dobrze byłoby, gdybym mogła teraz moją pensję przynieść do domu.

Poszłam w stronę rzeki, wyobrażając sobie, że łatwiej jest skoczyć w jej zimne nurty, niż przyjść do domu z moją winą. Gdy przechodziłam jedną z najludniejszych ulic, spiesząc do nowego celu — do śmierci w rzece, przyczem łzy bezustannie spływały mi po twarzy, a szlochania wstrząsały mem całym ciałem — zatrzymał mnie jakiś elegancki pan. Zapytał mnie, dokąd idę tak późno i dlaczego płacę. To było moje zbawienie! To była opatrzność Boska! Nadzieja znowu wstąpiła we mnie i opowiedziałam mu o mem zmartwieniu. Musiałam mieć dwa guldeny,

gdyż inaczej nie mogę iść do domu. Jak przyjemnie i dobrze mówił ten pan. Chciał mi dać dziesięć guldenów, miałam tylko z nim pójść do niego, gdyż nie miał pieniędzy ze sobą. Nie wiem, co mnie ochraniało — gdyż, niebacząc na mą nędzę nie poszłam z nim do jego mieszkania. Przed domem do którego dotarliśmy, prosiłam go, by pozwolił mi zaczekać, aż wróci z pieniędzmi. Gdy mnie namawiał i z lekką przemocą starał się wciągnąć do siebie, wyrwałam się z jego rąk i uciekłam. Ogarnęła mnie taka dziwna obawa; spojrzenia, jakie ten pan rzucił na mnie, tak mnie przerażyły, że nie namyślając się, pobiegłam w kierunku mojego mieszkania. Zastałam tam mego brata, który już dawno mnie szukał i teraz zamierzał pójść do fabryki, by pytać o mnie.

Czy mam jeszcze opowiedzieć, jak spędziłam ten wieczór wigilijny?

Czy powiedzieć trzeba, że ani brat, ani matka nie mogli czytać w mej duszy, że nie mogli pojąć pobudek i nie mogli mi zatem wybaczyć? Nazywali mnie złą i leniwą! Mnie — leniwą! W wieku, gdy inne dzieci bawiły się lalką lub siedziały na ławie szkolnej, gdy ich pielęgnowano i pilnowano, gdy im z pod nóg usuwano każdy kamyczek, w tym wieku ja musiałam już opuszczać dom rodzinny, by na kark dziecinny włożyć jarzmo pracy i troski

o chleb powszedni. W wieku, kiedy inni jeszcze rozkoszowali się wspomnieniami dzieciństwa, ja już nie znałam śmiechu dziecinnego i miałam uczucie, że mojem przeznaczeniem, całe życie pracować. Ciężar tych lat dziecięcych długo mnie gnębił i uczynił ze mnie zawczasu poważne niedostępne swawoli młodzieńczej, stworzenie. Coś wielkiego musiało się stać w mojem życiu nim zdołałam się z tych wrażeń otrząsnąć.

\* \* \*

Znów znalazłam robotę, czyniłam wszystko, co wymagano, by pokazać mą pracowitość, a wiele jeszcze przeżyłam. Nastąpiła wreszcie zmiana ku lepszemu. Dostałam zajęcie w fabryce korków, która była prowadzona na szeroką skalę: zatrudniała 300 robotnic i około 50 robotników. Przyszłam do wielkiej sali, gdzie pracowało 60 kobiet i dziewcząt. Przy oknach stało 12 stołów; przy każdym z nich, siedziało czworo dziewcząt. Naszem zajęciem było sortować wyrobiony towar, inne znów liczyły go, a jeszcze inne wypalały na nim markę fabryczną. Pracowałyśmy od siódmej zrana do siódmej wieczór. Na obiad dawano nam godzinę czasu, na podwieczorek pół godziny. Mimoto, że w tygodniu, kiedy zaczęłam pracować, było święto, otrzymałam pełną pensję, jaką zwykle dostawały po-



czątkujące. Dostałam cztery guldeny. Tyle nie płacono mi jeszcze nigdy. Oprócz tego powiedziano mi, że przy zręczności otrzymam po kilku miesiącach 50 grajcarów dodatku. Dostałam je już po sześciu tygodniach, a po upływie pół roku dostawałam pięć guldenów, później miałam sześć. Zdawało mi się, że jestem teraz bogatą. Obliczałam, ile złożę pieniędzy w ciągu kilku lat i budowałam zamki nadpowietrzne. Będąc przyzwyczajoną do nadzwyczajnej oszczędności, byłabym w mych oczach rozrzutnicą, gdybym cośkolwiek więcej na żywność wydawała. Nie myślałam o tem, co jadłam, szło mi tylko o zaspokojenie głodu. Chciałam tylko ładnie się ubierać. Chciałam, by nikt nie poznał we mnie robotnicy fabrycznej, gdy szłam w niedzielę do kościoła, wstydziłam się bowiem mego zajęcia. Praca we fabryce zawsze wydawała mi się czemś poniżającym. Gdym jeszcze była w terminie u krewnej, słyszałam, że dziewczęta, pracujące we fabrykach, są złe, lekkomyślne i zepsute. Mówiono o nich najohydniej i ja też powzięłam o nich to mylne wyobrażenie. Teraz sama chodziłam do fabryki, gdzie pracowało tak wiele dziewcząt. Robotnice były dobre względem mnie, pomagały mi w robocie w najdelikatniejszy sposób i obznajamiały mnie z potrzebami fabryki. Dziewczęta z sali sortującej uchodziły za naj-

lepsze z personalu. Sam fabrykant wybierał je, podczas gdy wybór innych robotnic zależał od kierujących oddziałami. W innych salach były kobiety razem z mężczyznami; w mojej sali były wyłącznie same kobiety. Mężczyźni byli tylko siłą pomocniczą, gdy trzeba było ciężkie paki z obliczonym, sortowanym lub oznaczonym towarem przenieść na podwórze. Obiad mogłyśmy spożywać we fabryce. Gdy pogoda sprzyjała, spożywałyśmy na pakach w podwórzu, osłoniętem szklanym dachem. Zimą obiadowałyśmy w sali, gdzie stały maszyny. W sortowalni, gdzie mogło nam być o wiele wygodniej, nie mogłyśmy zostawać, ażeby towar nie przeszedł zapa-chem naszych „potraw“. Robotnice, mieszkające w pobliżu, udawały się na obiad do domów; tym było najlepiej, gdyż miały ciepłą i o wiele smaczniejszą strawę. Kilka tygodni chodziłam na obiady do znajomych. Było to prawdziwą męką. Musiałam 25 minut szybko biec, połykałam naprędce gorące jedzenie i znowu spieszyłam z powrotem, tak że wracałam do sali bez tchu, jakby pędzona przez kogoś. Nie mogłam znieść tego długo i wolałam znowu zostać we fabryce. Jak smutny i okropny jest los robotnic — można się było przekonać na tych kobietach. Tu były rzekomo najlepsze warunki pracy. W żadnej z sąsiednich fabryk nie płacono tak wiele,



zazdrozczono nam. Rodzice nazywali się szczęśliwymi, gdy mogli swą córkę 14-letnią która skończyła szkołę, tam umieścić.

Każda z nas starała się, by z niej byli zadowoleni i nie odmówili jej miejsca. Nawet zameżne robotnice, których mężowie znali rzemiosło jakiegoś, starały się o zajęcie dla mężów chociażby pomocnika-robotnika, egzystencja bowiem była wtedy pewniejsza. A nawet tu, w tym „raju“, wszyscy odżywiali się źle. Kto zostawał w fabryce na obiad, kupował sobie za kilka grajcarów kiełbasy lub odcinków sera w mleczarni. Czasami jadło się chleb z masłem i tanie owoce. Niektórzy pili też szklanek piwa i maczali w niem chleb. Gdy nam nasze „menu“ już brzydło, przynosiliśmy sobie cośkolwiek ze szynku. Za pięć grajcarów zupy lub jarzyny. Jedzenie było rzadko dobre, zapach starego tłuszczu nieznośny; często brało nas takie obrzydzenie, żeśmy wylewały jedzenie i wołały suchy chleb, pocieszając się myślą o kawie, którą zabrałyśmy ze sobą na podwieczorek. Gdy fabrykant przechodził podwórko, gdzieśmy obiadowały, zatrzymywał się czasem i pytał, co mamy „dobrego“. Gdy był w dobrym humorze, lub gdy zagadnięta robotnica była ładna i umiała skarżyć się, wtedy dawał jej pieniądze, żeby sobie mogła co lepszego kupić. Czułam od-

razę do tego, i o ile mnie pytał zawsze odpowiadałam, że jedzenie jest smaczne.

Próbowałyśmy też chodzić do restauracji. Otrzymywałyśmy tam za ośm grajcarów zupy i jarzyny, za drugie ośm dwie do spółki kupowały kawałek gotowanego mięsa. Byłam raz jeden w restauracji i powtórnie zachorowałam, a doktor zalecił mi zdrowe potrawy. Gdy zaś stan mój cokolwiek poprawił się i byłam silniejszą, żal mi było tyle wydawać: chciałam przecież zaoszczędzić sobie pieniędzy, by mieć trochę na czarną godzinę. Wogóle najlepiej mogły się odżywiać dziewczęta, które miały wsparcie od rodziny. Takich jednak było bardzo niewiele. Najczęściej musiały one wspierać swych rodziców lub płacić za utrzymanie swych dzieci. Jak poświęcały się te matki! Zbierały grajcar za grajcarem, dla polepszenia bytu swym dzieciom i żeby pielęgniarkom mózż podarunki robić zaco te dobrze obchodziły się z dziećmi idawały im lepszą strawę. Często musiały robotnice myśleć o bezrobotnych swych mężach i cierpieć podwójnie, gdyż same dźwigały ciężar wyżywienia całej rodziny.

Poznałam też lekkomyślność dziewcząt fabrycznych. Naturalnie, chodziły one tańczyć i miały stosunki miłosne; inne szły o godzinie trzeciej popołudniu przed teatr, by

być wieczorem za trzydzieści grajcarów na przedstawieniu. Latem robiły wycieczki i godzinami chodziły pieszo, żeby zaoszczędzić kilka grajcarów za jazdę. Widok zieleni musiały potem zapłacić kilkudniowym bólem w nogach. Wszystko to można nazwać lekko-myślnością, gdy się chce, także chęcią rozrywki, wesołością, lecz któż ma odwagę do tego?

Widziałam u mych koleżanek, tych pogardzanych robotnic fabrycznych, przykłady wielkiej ofiarności dla innych. Gdy panowała jakaś nadzwyczajna nędza u jednej z rodzin, wtedy robotnice robiły składkę ze swych krwawych grajcarów, żeby pomódz. Po dwunastogodzinnej pracy a często i godzinie chodzenia do domu, szyły jeszcze wieczorami bieliznę, choć nigdy nie uczyły się tego. Pruły swe stare suknie i szyły je na nowe wieczorami i w niedzielę. Pora obiadowa i podwieczorkowa nie była poświęcana spoczynkowi. Potrawy były bardzo prędko spożywane, a resztę czasu spędzano na robieniu pończoch, szydełkowaniu i wyszywaniu. I mimo pilności i oszczędności wszystkie były biedne i drżały na myśl, że mogą utracić zajęcie. Wszystkie były bardzo pokorne i pozwalały sobie wyrządzać najgorsze krzywdy od zwierzchnictwa, żeby tylko nie stracić tak dobrej posady, nie zostać bez chleba. Niektóre dziewczęta miały

nieszczęście, zasłużenia na specjalne względy jednego z swych zwierzchników. Nagle zmieniła swe zachowanie, wtedy nie umiała już nic dobrze zrobić, nie awansowała, nie otrzymywała większej zapłaty, przeciwnie, czyniono jej wciąż wyrzuty. Grożono jej wydaleniem i biedna dziewczyna była jak zwierzę przesładowana, aż wreszcie nie mogła wytrzymać i sama opuszczała miejsce.

Później o niektórych z nich krążyły różne pogłoski. Jedna wtedy szeptała do drugiej, że widziano ją na określonych ulicach w wychylających sukniach lub też wychylającą się z okien, dla wabienia mężczyzn. Wszystkie pomiały ją za to i nawet ja byłam oburzona. Żadna z nas nie pomyślała o tem, czy byłoby inaczej, gdyby stawiała opór od początku i nie chciała przyjmować względów zwierzchnika.

O tajemnej i o oficjalnej prostytucji nie jeszcze wtedy nie słyszałam, nie znałam nawet tego słowa. Później, gdy mogłam lepiej osądzać przyczynę i skutek, już inaczej myślałam o tych dziewczętach, tembardziej, że po upływie wielu lat dowiedziałam się o starszych robotnicach, jakim stosunkom zawdzięczają swe lepsze posady. Albo widziałam, jak niektóre urządzały sceny majstrom zato, że je od razu zaczynał źle traktować, bo mu już obrzydła i chętnie by się jej pozbył, żeby móc „uszcześliwić“ inną. Wtedy

nie myślałam o tem wszystkim; wtedy dążyłam tylko do tego, by nie mieć z nikim żadnej styczności i jak najlepiej wykonywać swą robotę. W naszej sali nie było nawet takich wypadków: nikt nie słyszał od naszego majstra dobrego, ludzkiego słowa. Był to tyran najgorszej wody i traktował wszystkie robotnice jak stado niewolnic. Nikt nie miał odwagi na niego się uskarżać. Uchodził on za najlepszego pracownika przedsiębiorstwa, któremu był bezwątpienia, zupełnie oddany. Że był kiedyś sam prostym robotnikiem w tej samej fabryce — o tem napewno już dawno zapomniał.

W tym czasie bracia moi pożenili się i musieli dbać o własne rodziny. Ja nie chciałam opuszczać mej matki i starałam się, by ona nie potrzebowała już pracować. Oszczędzałam tak, jak moje koleżanki, a gdy mi wydarzyło się jakiegoś dnia wydać kilka grajcarów więcej, następnego dnia głodziłam się formalnie. Że z mych oszczędności nie będę miała majątku — to już wiedziałam, chciałam jednak mieć pieniądze, by na wypadek choroby mej matki nie trzeba jej było oddawać do szpitala, miała bowiem dla niego okropny wstręt. Na równi z innymi robotnicami czułam się szczęśliwą, że pracuję w tej fabryce i bojaźliwie wystrzegałam się wszystkiego, co mogło spowodować wymówkę.

„Dobry pan“, to było ogólne mniemanie o naszym „chlebodawcy“. Jak korzystnem jest wyzyskiwanie siły roboczej rąk ludzkich, można się było najlepiej przekonać na osobie tego fabrykanta; on, który był dla pracujących najwięcej przychylny ze wszystkich przedsiębiorców, który w przeciągu wielu tygodni wypłacał pensję chorym robotnikom i robotnicom; który dawał pokaźne sumy osieroconej rodzinie robotnika, on, który nigdy nie odmówił prośbie, gdy się kto do niego zwracał w nędzy, on jednak wzbogacił się dzięki produkcyjnej pracy mężczyzn i kobiet, zatrudnianych w jego fabryce. Jak jednak w tej fabryce zostałam social-demokratką, opowiem później.

Tymczasem nie czułam się biedną. Prawdziwie po królewsku cieszyłam się wspaiałym niedzielnym obiadem. Kupowałyśmy mięsa za dwadzieścia grajcarów i ja obiad gotowałam. Później, gdy mi zapłatę powiększono, obiad był jeszcze lepszy i dostawałam szklaneczkę ocukrzonego wina. Jednego tylko brakło mi do zupełnego szczęścia; koleżanki moje były confirmowane i opowiadały mi, jak tam wszystko było wspaniałe i jakie podarunki otrzymały w dniu confirmacji. Ja jedna tylko nie byłam confirmowaną, gdyż matka była za dumną, by kogoś prosić na chrzestną matkę. Ona sama nie była w sta-



nie sprawić mi białej sukni i wszystkich niezbędnych rzeczy, choć bardzo chciała to zrobić; i tak musiałam zawsze zostawać w tyle. Gdy było czasem ogłoszenie w gazecie, że w dniu konfirmacji ktoś chce być dla biednego dziecka chrzestną matką lub ojcem, radziła mimama, żebym ja próbowała szczęścia i poszła do kościoła, albo czekać muszę do czasu, aż sama zarobię tyle, żeby sobie wszystko kupić.

Gdy skończyłam 16 lat i pierwszy mężczyzna mówił mi o zamążpójściu, odpowiedziałam mu zupełnie poważnie: „Ależ nie jestem jeszcze konfirmowana“. Podług mego zdania, powinna była prawdziwa katoliczka przyjąć ten sakrament przedtem, nim pomyślała o ślubie. Mając już 17 lat nie chciałam dłużej czekać. Młoda koleżanka, która była zaręczona z zamożnym człowiekiem, chciała być moją chrzestną matką. W magazynie na raty kupiłam sobie ładną, jasną sukienkę, ładne buciki, jedwabną parasolkę, cienkie rękawiczki i piękny ubrany kwiatami kapelusz, który wieńczył to wszystko. O! co to były za śliczności! Oprócz tego, jazda w otwartej karecie, ceremonia w kościele z bierzmowaniem przez biskupa potem przechadzka, modlitewnik i kilka praktycznych podarunków. Teraz dopiero miałam się za dorosłą. Matka też już więcej nie pracowała, zarabiała cośkolwiek w domu i zajmo-

wała się gospodarstwem. Wynajęliśmy duży pokój o dwóch oknach; młodszy brat znowu zamieszkał z nami, lecz na ten raz bez kolegów. Gdy teraz czytałam w niedzielę, mogłam siedzieć przy oknie i byłam najszczęśliwszą. Czytałam już teraz lepsze książki, nawet klasyków. Wielkie wrażenie wywarły na mnie wiersze Lenau'a. Wiersz „Anna“ nauczyłam się na pamięć, potem „Klara Hebert“. Bardzo podobał mi się „Oberon“ Wieland'a, a także Chamisso'a „Naręczona Lwa“ umiałam na pamięć. Goethe nie wzruszał mnie jeszcze wtedy, miałam go za „niemoralnego“, a niektóre epigramaty odrzucałam zupełnie, nazywając je „nieobyczajnymi“.

Dopiero kilka lat później czytałam „Wahlverwandschaften“, które mnie zachęciły do dalszego czytania. Najwięcej lubiłam wyżej wspomniane dzieło, potem „Iphygenie“ i „Naturalną córkę“.

Fizycznie też byłam silniejszą i wytrwalszą. Byłam wprawdzie błada, lecz która z koleżanek nie była nią? Mimoto, że byłam zupełnie zdrowa, pamiętałam dobrze co przeszłam w życiu. Te cienie przeszłości prześladowały mnie i sprawiały czasem okropne cierpienia. Z najmniejszych rzeczy wmawiałam w siebie, że znów zachoruję. Drganie powiek, chwilowe niedomaganie uważałam już za objawy stanu chorobliwego. Często całymi dniami nie mogłam



się otrząsnąć z tej obawy; przestraszona budziłam się w nocy i tuliłam do matki, która cierpiała razem ze mną. Tygodniami byłam melancholijna, co znów koleżanki przypisywały tajemnej miłości. Nie chciałam im nic mówić o przyczynie mego smutku; wyobrażałam sobie, że gdy będę mówić, zachoruję na dobre.

Ponieważ w mojem otoczeniu często mówiono, iż pielgrzymka może przynieść ulgę we wszystkich boleściach, postanowiłam spróbować i ten środek. Chciałam błagać w cudownym miejscu o zupełne uwolnienie z mojej obawy o chorobę i o znak jakiś, że moje błaganie zostało wysłuchane. Trzy godziny szłyśmy pieszo do miejsca odpustowego. Byłam myślami najreligijniejszymi przejęta. Do jednej tylko rzeczy nie mogłam się odrazu zdecydować. Przed zbliżeniem się do cudownego obrazu było niezbędnem wyspowiadać się i przystąpić do komunii. Zawsze jednak byłam temu zupełnie przeciwną. Przebyłam tę długą podróż nic nie jedząc, gdyż można było przyjąć świętą hostyę tylko wtedy, jeśli się poprzedniego dnia nic nie jadło. Gdy klęczałam w konfesjonale, nie wiedziałam nic, co mam mówić; ksiądz czekał na przyznanie się do grzechów, ja jednak nie przypomiinałam sobie żadnego grzesznego postępku. Wreszcie ksiądz zadawał mi pytania, między innymi takie, które mnie drażniły i dotykały. Na wszystko odpowiada-

łam „nie“; ksiądz dał mi tylko łatwą pokutę. Odbyłam ją, hostyi jednak nie otrzymałam. Nie mogłam się zmusić do uwierzenia w cudowne działanie hostyi, jakkolwiek wtedy wierzyłam jeszcze w Boga, w jego wszechmoc, w świętych i ich wstawienie się za modlącymi. Zawsze miałam instynktowne uczucie wątpliwości do obrzędów. Tem goręcej modliłam się przed ukrzyżowanym Jezusem, który leżał w niszy, jak w grobie. Przy modlitwie był okropny natłok. Wszyscy czogli się na kolanach, by ucałować ślady gwoździ na wyciosanym z drzewa Zbawicielu. Ja zrobiłam to samo i dotknęłam ustami tych miejsc, które przedtem całowało tysiące chorych i zdrowych. Podczas procesyi podziwiałam wszystkie cuda, któremi sławne było to miejsce. Na pamiątkę ocalonych rąk, które miano za stracone, ofiarowywano woskowe, srebrne i złote ręce; także same kule na pamiątkę uzdrowionych nóg. Mnóstwo obrazów przedstawiało sceny uratowania: na jednym z nich widziałam, jak dziecko padało z okna wysokiego domu i tylko dzięki miłości i liłości św. Dziewicy, bez szwanku dosięgło ziemi. Na innym znowu, dziecko zostało uratowane z płomieni przez Maryę, Królowę Niebios, a nie przez odwagę strażaka. Widziałam jeszcze inny, gdzie dziecko, tratowane przez spłoszone konie wyszło cało, dzięki opiece

świętych. Widziałam dary, składane za ocalenie od śmierci wszelkiego rodzaju, za uwolnienie od cierpień i za uratowanie od bankructwa; były nawet dary za szczęśliwe zaślubiny. Za wszystkie te święte i cudowne postęпки składali szczęśliwi kosztowne ofiary; na darach tych można było odczytać opis cudów. Nie mogłabym twierdzić, że zostałam bez żadnych wątpliwości: przecież tyle razy napróżno błagałam o pomoc. Kupiłam też świecę ofiarną, nie wiedząc o tem nic, że gdy się chce być pewną że jest ofiarną, trzeba stać przy niej, aż się spali. Później dowiedziałam się, że nietylko fabrykanci świec ofiarnych mają majątki z tego, lecz i kościół procenty i procenty z procentów dzięki tym świeczkom.

Główną atrakcją tego miejsca odpustowego jest cudowny obraz „Matki Boskiej“. Do obrazu tego zbliża się po stopniach, po których wolno się poruszać tylko czołgając na kolanach. Na każdym stopniu trzeba odmawiać „Ojcze nasz“, gdyż tylko w ten sposób można oczekiwać spełnienia prośby, z którą zwraca się do Miłosiernej Matki Boskiej. Widziałam, jak kobiety czołgały się ze stopnia na stopień i zrobiłam to samo. Jak była upiękzoną ta Maryja! Podziwiałam tam mnóstwo srebra, złota i pereł a w takim blasku i przepychu, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam. Wszystko błyszczało

i iskrzyło się na niej. Do tej Maryi jednak nie można się było zbliżyć: była ochroniona wraz ze swemi kosztownościami od wszelkiego dotknięcia gęstą siatką. Tylko z należącego oddalenia można było się Jej przypatrywać, zanosząc do Niej gorące modły. Do tego więc przepychu, który mi lśnił i mienił się w oczach, miałam w nabożnej modlitwie wypowiedzieć swą prośbę. Żadna myśl z zewnętrznego świata nie powinna przenikać do duszy, która cała musi być skupioną dla Boga i Maryi. Cóż dziwnego, że z smutnemi wątpliwościami powróciłam do domu z tej pielgrzymki. Czulałam, że nie byłam w stanie modlić się prawdziwie, wzrok mój bowiem za długo spoczywał na błyszczącym obrazie Maryi.

Pielgrzymka została bez skutków, gdyż moja obawa nie zmniejszyła się wcale. Chciałam spróbować jeszcze raz i znów udałyśmy się na odpust do cudownego miejsca, które słynęło z surowości a nie było tak wystawne. Miejsce odpustowe dla biednych ludzi. Pewnego gorącego poranku lipcowego wybrałyśmy się w drogę o 4 godzinie z rana, gdyż miałyśmy chodzić pięć godzin. Nie pozwoliłyśmy sobie wypić w drodze ani kropli wody; chciałam cierpieć, pokutować, by zasłużyć na miłosierdzie. Przyszłyśmy wreszcie zmęczone, wygłodniałe, spragnione i pokryte grubą warstwą kurzu. Przed południem zebrało się tysiące

ludzi, tak że nietylko kościół, lecz domy za-  
jazdowe były przepełnione. Podczas nabo-  
żeństwa w kościele, kiedy pątnicy szli pro-  
cesją z krzyżami i chorągwiami, tłok był tak  
wielki, że nie mogło być mowy o prawdzi-  
wym skupieniu ducha. Przychodzono, wycho-  
dzono, pchano się i tłoczono bez przerwy.  
Potem słyszano wołania o pomoc, a później  
jeszcze większy tłok, gdy wynoszono om-  
dlałych w tej okropnej atmosferze. Kaleki,  
które z wielkim trudem przywlekli się  
o kuli, nawpół ślepi, którzy ochraniali swe  
chore oczy, słabe dzieci na rękach matek,  
ciężarne kobiety, modlące się o szczęśliwy  
poród — i inni, oczekujący błogosławieństwa  
— wszyscy w tym dzikim tłoku i krzyku.  
Potem przepełnione szynki, gdzie pito i ha-  
łasowano bez przerwy. Byłam rozczarowaną  
i rozgoryczoną i więcej nie szłam już na odpust.  
Nie byłam wprawdzie jeszcze zachwiana w wie-  
rze, myślałam jednak, że lepiej można się modlić  
w domu, niż w otoczeniu, które przypominało  
prędzej jakąś zabawę na wsi, niż miejsce święte.

\* \* \*

Czytywałam chętnie nietylko romanse, lecz,  
jak już wyżej zaznaczyłam, zaczęłam czytać  
klasyków i inne pożyteczne książki. Brałam  
też żywy udział w zdarzeniach bieżących. Je-  
szcze jako uczenica w terminie, często nie

kupowałam sobie jedzenia, by móc kupić  
gazetę. Nie interesowały mnie jednak nowości,  
lecz artykuły polityczne. Obecnie, gdy już mia-  
łam stałą pensję, kupowałam sobie gazetę,  
wychodzącą trzy razy dziennie. Była to bardzo  
religijna katolicka gazeta, która niezadowoloną  
była z poczynającego się ruchu roboczego,  
zato szło jej bardzo o patryotyzm i religijność.  
Już wtedy walczyły w mej duszy o pierw-  
szeństwo dwa poglądy. Przyjmowałam żywy  
udział we wszystkich przejściach rodziny pa-  
nującej i lepiej byłam poinformowaną co do  
postępków rodziny królewskiej niż o własnem  
otoczeniu. Razem z Hiszpanią smuciłam się  
o Alfonsa XII. i przechowałam jak relikwię,  
obraz wyobrażający Maryę Krystynę, jak ze  
swym wychowawcą na rękę ukazuje się pod-  
władnym. Z powodu Aleksandra Battenber-  
skiego życzyłam Rosyi wojny i upadku; książę  
bułgarski też długo zajmował miejsc w mej ga-  
leryi obrazów. Śmierć następcy tronu austryac-  
kiego tak mnie zmartwiła, że płakałam dniami  
całymi. Nie zajmowały mnie jednak tylko losy  
dynastyj, lecz i zawikłania polityczne. Wyrą-  
żona w mej gazecie możliwość wojny z Rosyą  
wprawiła mnie w zapał patryotyczny. Już wi-  
działam braci moich, powracających ze sławą  
z pola bitwy; siebie zaś chętnie widzieć bym  
chciała w roli „Bohaterki z Wörth“ którą, jak



czytałam w romansie, Wilhelm I nagroził orderem „Krzyża żelaznego“.

Wtedy znałam już dzieje rewolucji wiedeńskiej i francuskiej, które pożyczyłam sobie od ojca jednej koleżanki. Długo jednak nie mogłam zdecydować się na jakiś określony światopogląd. Gdy w życiu politycznym był silny prąd antysemitki, byłam zupełnie po jego stronie. Jedno zdarzenie skłoniło mnie do tego uczucia; zawdzięczam je świstkowi papieru pod tytułem: „Jak Izrael osiąga wszechmoc i władzę nad narodami całego świata“. Oprócz wielu czynów zbrodniczych, przypisywanych zwykle synom Izraela, dostałam teraz jeszcze wiadomość o bajce mordu rytualnego. Przeczytałam właśnie, iż żydzi chcą hańbić „córkę goimów“ (chrześcijan), by ochronić własne żony i córki. To twierdzenie wywarło na mnie ogromny wpływ. Chciałam się przyczynić do zmniejszenia obrotów kapitału i przemysłu żydów i postanowiłam nie kupować więcej sukien w magazynie żydowskim; namawiałam do tego też moje koleżanki. W tym samym czasie działała jakaś grupa anarchistów. Niektóre przestępstwa zagadkowe, przypisywano anarchistom i policja posługiwała się nimi, by wykonywać swe represje nad ruchem robotniczym. O tem wszystkim czytałam z wielkiem zajęciem, wszystko zaś inne, co, jak utrzymują, zajmuje wszystkie kobiety, ledwie prze-

glądałam. Procesy anarchistów odczytywałam z namiętnością. Czytałam wszystkie mowy, a że pomiędzy podsądnymi byli też social-demokraci, zapoznałam się więc z ich programem. Byłam pełna zapału. Każdy oddzielny socialdemokrata, którego znałam z gazety, wydawał mi się Bogiem. Nigdy jednak nie wpadło mi na myśl, że mogę zostać ich towarzyszką. Byli dla mnie tak wielcy, niedosiężni, że nawet myśl o tem, że ja, niewykształcona, nieznana i biedna istota, będę brać czynny udział w ich partyi, wydawała mi się dziką, fantastyczną.

Nastąpiły rozruchy robotnicze; ogólne bezrobocie rozpowszechniło się; całe zawody stały się, a policja chciała zaspokoić wciąż wzrastającą nędzę i niezadowolenie środkami represyjnymi. Zamykała stowarzyszenia zawodowe, konfiskowała kasy. Takie postęпки powiększały jeszcze, naturalnie, niezadowolenie i przyszło do starć demonstracyjnych; gdy zaś te powtarzały się, posłano wojsko do „zagrożonych“ ulic. Stali na ulicy z bronią u nóg lub konno. Pobiełam wieczorem przy wyjściu z fabryki na plac, by przyjrzeć się wypadkom; wojska nie bałam się wcale i dopiero wtedy poszłam, gdy spędzano ludzi do domów. Wtedy poznałam nadzwyczaj inteligentnego robotnika. Był zupełnie niepodobny do tych, którzy należeli do moich znajomych. Wiele podróżował w swem życiu, przebywał

w Rosji i Anglii i teraz właśnie powrócił, otrzymał niezłe wykształcenie, uczęszczał do średniego zakładu naukowego i tylko z powodu katastrofy finansowej musiał zostać robotnikiem. Był to pierwszy socjal-demokrata, którego poznałam. Nie należał jednak oficjalnie do partii, nie był członkiem żadnego stowarzyszenia, czytał tylko wydawnictwa partyjne. Dostałam od niego wiele książek, z nim mogłam mówić o wszystkim, co myślałam i czułam. On objaśnił mi różnice między socjalizmem i anarchizmem; on pierwszy opowiedział mi, co to jest republika i ja, taka zapalona monarchistka i adoratorka dynastii, zgodziłam się, że lepszy jest ustrój republikański. Pojmowałam wszystko tak dobrze, widziałam wprost namacalnie, że liczyłam tygodnie i dni, które miały upłynąć do reform w państwie i społeczeństwie. Od tego samego robotnika dostałam pierwszą gazetę socjal-demokratyczną. Nie kupował jej regularnie, ale tylko od czasu do czasu, jak niestety czyni wiele osób, ja jednak prosiłam by kupował gazetę co tydzień i sama ją kupowałam. Z początku trudno mi było zrozumieć rozumowania teoretyczne, lecz za to odczuwałam dobrze to, co było pisane o cierpieniach klasy robotniczej i dzięki temu poznałam lepiej własny stan i miałam o nim poważniejszy sąd. Nauczyłam się sądzić teraz, że to wszystko, co

znosiłam dotychczas, nie było za sprawą Boga, lecz niesprawiedliwym urządzeniem społecznym. Bezbrzeżne oburzenie ogarniało mnie, gdy czytałam o tych samowolnych prawach i postępkach względem robotników.

Unieważnienie ustaw wyjątkowych, z powodu których socjal-demokraci cierpieli bardzo, powitałam z zachwytem, choć nic jeszcze wspólnego z partją nie miałam i nikt mnie nie znał. Nie byłam jeszcze dotychczas na zebraniu, nie miałam nawet pojęcia, że kobiety mogą tam mieć wolny wstęp; oprócz tego nie chodziłam nigdy sama do kawiarni, gdyż było to przeciwne moim zasadom. Takim sposobem, unikałam wszelkiej przyjemności, wszelkiej rozrywki, by tylko nie znaleźć się w towarzystwie, któreby nie stosowało się do moich poglądów. Matka też mówiła mi zawsze: „Dobra dziewczyna powinna być zawsze w domu“. Wciąż więc siedziałam w domu, zajęta książką lub robótką, tęskniąc jednak bardzo, choć bezwiednie, za obcowaniem z ludźmi jednako myślącymi i jednako czującymi.

W fabryce zmieniałam się zupełnie, gdy się umysł mój uwolnił cokolwiek od zbytycznej uczuciowości. Przedtem szukałam samotności, by koleżanki nie mogły być ze mną zaufałe. Z początku miały to za nieśmiałość i skromność, a później, gdy się nie zmienia-

łam, za dumę. Że jednak zawsze byłam uprzejmą i nigdy nie zostawałam ostatnią, gdy trzeba było pomódz jakiejś z koleżanek, przyzwyczajono się do mego usposobienia. Nawet robotnicy, z którymi dziewczęta żartowały podczas pauzy w podwórzu, zostawiali mnie w spokoju.

Nazywano mnie więc dumną, gdyż nie brałam udziału w rozmowie dziewcząt ani w żartach z robotnikami. Mówiono o mnie często: „Pewno sobie myśli, że dostanie grafa“.

Teraz, gdy miałam wytknięty cel w mem życiu, i gdy nosiłam się z myślą, że wszyscy ludzie powinni wiedzieć o tem, co ja wiem, teraz więc już nie omijałam ludzi, nie stroniłam od nich, lecz opowiadałam koleżankom o wszystkim, o czem czytałam. Przedtem też czasem opowiadałam, gdy mnie o to proszono, lecz teraz, zamiast opowiadań z Ohnet'a „Właściciela kuźnic“ lub o losach jakiejś królowej, opowiadałam o poniżeniu i wyzysku klasy robotniczej. Mówiłam z zapałem o kapitałach, nagromadzonych w ręku jednostek i przedstawiałam jako kontrast, krawców, co nie mają ubrania, szewców, którzy chodzą boso. Podczas wolnych chwil odczytywałam artykuły gazety socjal-demokratycznej i objaśniałam im, jak mogłam, co to jest socjalizm.

Broniłam z namiętnością i zapałem swej

sprawy, gdy stawiano na równi socyalistów i anarchistów.

Działalność moją prędko spostrzeżono: Zwierzchnicy zwracali na mnie uwagę i mówili o mnie. Dokładałam za to wszelkich starań, by nie dać powodu do jakiegokolwiek wymówki. Przedtem przychodziłam, jak inne, często za późno, teraz starałam się być punktualną. Robotę moją wypełniałam nadzwyczaj sumiennie i starannie, miałam bowiem to instynktowne poczucie, że gdy chce się służyć wielkiej idei, trzeba i drobne obowiązki spełniać gorliwie. Nie umiałabym wtedy wyrazić dokładnie tej myśli, lecz byłam nią natchniona. Zdarzało się czasem, że gdy podczas podwieczorku z umiłowaniem i ożywieniem objaśniałam treść gazety, przechodził przez podwórko jakiś z urzędników biura i kiwając głową, mówił do drugiego: „Ta dziewczyna mówi, jak mężczyzna“.

Już sama kupowałam sobie co tydzień gazetę. Kiedy po raz pierwszy wstępowałam w progi gmachu, gdzie sprzedawano gazetę, zdawało mi się, że wchodzę do świątyni, gdy zaś odesłałam dla „Funduszu wyborczego“ pierwsze 10 grajcarów z podpisem: „Silna wola“, zaliczałam się już do członków masy walczącej, choć nie należałam do żadnego stowarzyszenia i nie znałam ani jednego socyal-demokraty, oprócz kolegi mego brata.



Ponieważ często czytałam na łamach swej gazety: „Werbujcie nowych czytelników! Rozszerzajcie swe pismo“, powzięłam więc zamiar działać w tym kierunku.

Nie można było z niczem porównać mej dumy i zadowolenia wewnętrznego, gdy po upływie kilku tygodni kupowałam dwie, trzy, a wreszcie i dziesięć egzemplarzy gazety. Chodzić po nie było dla mnie uroczystością, wydawało mi się jakimś pochodem tryumfalnym. Tego dnia ubierałam się w najładniejsze suknie, jak kiedyś, gdy chodziłam do kościoła.

Choć mało pisano w gazecie socjal-demokratycznej o religii, byłam jednak wolna od wszelkich przesądów religijnych. Nie stało się to od razu, długo trwała walka duchowa. Nie wierzyłam więcej w jedyne Boga i w lepsze życie na innym świecie, zagrobowym — myślałam jednak, że może jednak to tak jest. Często w dzień starałam się wytłómaczyć koleżankom, że stworzenie świata w ciągu sześciu dni jest bajką wierutną, że nie może być jedyne wszechmocnego Boga, gdyż takie mnóstwo ludzi nie byłoby wtedy wystawione na tak ciężkie plagi losu; jednak wieczorem tego samego dnia, leżąc w łóżku, składałam nabożnie ręce do modlitwy i rozmodlony wzrok wznosiłam ku obrazowi Maryi Panny. „A może jednak“, myślałam mimowoli. Nie

zwierzyłamby się jednak nikomu na świecie, że męczą mnie takie wątpliwości. Posługiwałam się opisami Syberyi i tych okrucieństw w twierdzy szlysselburskiej, o których pisano w gazecie, żeby dowieść koleżankom, że nie istnieje Bóg, mający mieć wpływ na losy ludzkie.

Me socjal-demokratyczne przekonania były coraz pewniejsze, a z powodu nich musiałam wiele cierpieć w fabryce.

Mój bezpośredni zwierzchnik, który rozciągał swą władzę tyrańską na całą salę, był zawsze brutalny i zrzędny. Dla mnie był teraz prawdziwym dyabłem. To był pierwszy człowiek, którego zniecierliłam naprawdę, i choć już wiele lat upłynęło, jak nie znajduję się pod jego władzą, jednak ogarnia mnie oburzenie i nienawiść, gdy myślę o nim. Jeśli w biegu lat coś pogorszyło się we fabryce, można je było jemu bez wątpienia przypisać. Był w stanie obrócić pobyt w fabryce na piekło dla każdej, gdy dla marnego powodu zasłużyła na wybuch gniewu, lub próbowała się bronić przeciw niezasłużonemu wyrzutowi. Dotychczas nigdy nie miał powodu zająć się specjalnie mną. Obecnie zmieniło się położenie, gdyż i on zauważył, jaki wpływ wywieram na koleżanki. Niepodobalo mu się to i zaczął mnie obserwować. Począł kontrolować moją robotę; i jeśli przedtem

zadawał się, gdy robił to raz na dzień, a często zupełnie o mnie zapominał, przychodził obecnie dziesięć razy na dzień. Nie byłam ani chwilki pewna, czy nie nadejdzie zaraz i nie rozpocznie poszukiwań, by znaleźć jakiś błąd w robocie. Gdy czasem wstałam, by wypić szklankę wody, siedł za mną, czekał, aż zaspokoję pragnienie i znów towarzyszył mi do stołu. Każdy krok, każdy ruch, uczyniony przeze mnie, prześladował namiętnie.

Pewnego dnia zawołał mnie mój chlebodawca do siebie i powiedział, że mój zwierzchnik jest niezadowolony ze mnie. „Pamiętajcie o tem, że musicie dbać o starą matkę“, powiedział mi na zakończenie. Byłam tak rozdrażniona i zmięszana, że nie wiedziałam na razie, co mu odpowiedzieć. Lecz gdy się uspokoiłam, starałam się znowu go spotkać i prosiłam go, by mi zechciał powiedzieć, dlaczego majster jest niezadowolony. Dowodziłam mu, że nie bacząc na częstą kontrolę, robota moja zawsze była w porządku. Fabrykant — już dawno nie miałam go za „chlebodawcę“ — dłuższą chwilę patrzył na mnie, wreszcie odszedł ze słowami: „Dobrze, pracujcie tak, jak dotychczas“.

O „sprawie kobiecej“ nie miałam jeszcze żadnego pojęcia. W gazecie socjal-demokratycznej nic o tem nie pisano, a innych pism

nie czytałam zupełnie. Nie znałam też żadnej kobiety, którąby zajmowała polityka. Miano mnie za wyjątek i sama uważałam siebie za taką. Sprawy społeczne, jak pojmo wałam to wtedy, miałam za zagadnienie mężczyzn i politykę również za zajęcie mężczyzn. Chciałabym tylko bardzo być też mężczyzną, by mieć prawo do zajęcia się polityką. Po raz pierwszy dowiedziałam się, czytając program podczas zjazdu partyjnego, że socjal-demokraci chcą wywalczyć równouprawnienie dla kobiet; nie miałam jednak jeszcze żadnego wyobrażenia, jak kobiety same mogą przyczynić się do zwycięstwa w tej walce. Wtem przeczytałam pewnego dnia w socjal-demokratycznej gazecie artykuł, zatytułowany:

„Kobieta w XIX. stuleciu“, oto festyn urządzony z celem dobroczynnym. Zasadniczą myślą tego oryginalnego widowiska było przedstawić działalność zarobkowania kobiet.

Tylko lekkomyślne społeczeństwo naszych „dobroczyńców“ mogło się odważyć obrać na festyn najbardziej chore miejsce całego narodu, jątrzącą się ranę, która zawiera w sobie całą niedolę współczesnej ludzkości. „Kobieta XIX wieku“ — niewolnica, która podwójnie jest uważana za żywy towar — jako przedmiot rozkoszy i jako przedmiot wyzysku, ta kobieta XIX

wieku jest królową balu! Przedstawiono środki zarobkowania kobiet: czy radca towarzystwa akcyjnego mógł dowoli podziwiać brudne, oblepione gliną pracownice cegieł, lub koronczarkę, otrzymującą 30 grajcarów za 16-godzinny dzień roboczy i wysłuchującą komplementy od swych wyzyskiwaczy, protektorów koronciarstwa; lub niewolnice przędzalni i tkalni, którym panowie wyzyskiwacze starają się wyłomaczyć korzyść roboty nocnej, lub te biedne kobiety, pracujące w fabryce igieł z pokłutymi, pokaleczonymi palcami — wszystkie one zapewne były tam, te wyzyskiwane, poniżone, zamęczane i prześladowane aż do deski grobowej.

Czy pokazano im nauczycielki, te wykształcone niewolnice, domowe i sługi, te niewolnice nieuczzone — jedne i drugie ofiary wyuzdanych kaprysów i pogardy niesłychanej tego świata „dobroczyńnego“. A czy pokazano im ten środek zarobkowania „kobiety XIX wieku“, który zwie się prostytutką, czy to „uświęconą przez legalny związek małżeński“ i tamtą prowadzącą w otchłań rozpaczy i bólu, prostytutkę uliczną? — Gdyby całe to widowisko nie było kłamstwem wierutnym, okłamywaniem samych siebie, gdyby choć jeden promyk gołej prawdy mógł się precyzyjnie do

tej błyskotliwej sali — wtedy, zaiste, obraz rzeczywisty „kobiety XIX-ego stulecia“ mógłby wystarczyć, by wywołać społeczeństwo z jego drzemki, rozpedzić je ze zgrozą i wstydem!“

Lecz oni są ślepi! A gdzie mogą widzieć, wolą być zaślepieni. Jakże mogliby żyć bez tej dobrowolnej ślepoty!

Przeczytałam to w socyaldemokratycznej gazecie, w mojej gazecie, jak ją nazywałam z dumą, i wpływ wywarły przez ten artykuł był nie do opisania. Nie mogłam zasnąć; здавало mi się, że łuska jakaś spadła mi z oczu i wciąż myślałam o tem, co przeczytałam.

Zdenerwowanie nie porzucało mnie i dusza moja paliła się chęcią jakiejś pracy, działalności.

Nie mogłam w żaden sposób zachować w sobie, co czytałam; słowa, jakie miałam mówić, cisnęły mi się na usta. Weszłam w domu na krzesło i mówiłam, jak bym to robiła w zebraniu, gdyby mi dano głos. „Urodzony mówca“ twierdził przyjaciół mego brata. On przynosił mi książki ze związku robotniczego, którego członkiem został niedawno. Ja sama namówiłam go do tego. „O, gdybym była mężczyzną“ powtarzałam wciąż. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że nawet będąc kobietą mogę coś zdziałać w ruchu socjalistycznym lub w ogóle w polityce. Nie słyszałam nigdy, by ko-



biety występowały na zebraniach, a nawet wszystkie odezwy „mojej gazety“ były zwracane tylko do robotników, do mężczyzn. W tym czasie zwołano paryski kongres socjalistyczny, który uchwalił strejk, jako manifestację za ośmiogodzinnym dniem roboczym. A ja wciąż jeszcze byłam sama i dla sprawy nic uczynić nie mogłam. To, co objaśniałam moim koleżankom, rozszerzanie gazety przeze mnie, wydawało mi się tak nieznaczącym, że nie mogłam pocieszyć się wcale. Później dopiero dowiedziałam się, jak nieocenione znaczenie ma właśnie działalność tego rodzaju dla rozszerzania socjalizmu.

Otrzymałam przez przyjaciela mego brata wiele książek ze stowarzyszenia robotniczego, które wymagały poważnego rozmyślenia.

„*Neue Zeit*“ była moją ulubioną lekturą i z przyjemnością i zajęciem przeczytywałam wszystkie jego roczniki, jakie tam były. Chciałam się jednak gruntownie kształcić i prosiłam nie tylko o socjalistyczne książki. Przeczytałam uważnie dziewięć tomów historii powszechnej i chciałam nawet studyować księgę „o wynalazkach“. Wszystkie jednak zabiegi były daremne; nie mogłam się zająć tą suchą literaturą, przeczytałam tylko artykuł o korze dębowej, gdyż miał wiele wspólnego z moim zajęciem.

Dzieło Fryderyka Engelsa „O położeniu

klasy robotniczej w Anglii“ wzruszyło mnie bardzo i powiększyło mój zapal rewolucyjny.

Niewielka broszura Lafargue'a „Prawo do lenistwa“ podobało mi się bardzo i wiele z niej czerpałam materiału gdy zaczęłam mówić na zebraniach. Wielkie upodobanie miałam dla Ferdynanda Lassale'a. „Nauka i robotnicy“, następnie: „Święto pracy i robotnicy“, te dwa dzieła odczytywałam bezustannie, by zgłębić ich treść. Do pierwszych dzieł socjalistycznych, wywierających na mnie pewien wpływ, zaliczam też mowę Liebknechta: „Wiedza — to siła“, która była wydana jako oddzielna broszura.

Nauczyłam się na pamięć mnóstwa pieśni rewolucyjnych.

Choć tyle zajmowałam się socjalizmem, nie byłam jeszcze nigdy ani na jednym zebraniu, jednak z palącą ciekawością śledziłam wszystkie sprawy partii i znałam nazwiska wszystkich mowców. Wreszcie chciałam znaleźć się też na zebraniu. Gdy zaś przypadkowo w jakąś niedzielę miało się odbyć zebranie, na którym miał mówić jeden z najświetniejszych i najlepszych mowców, uprosiłam brata, by ze mną tam poszedł. Było to w grudniu, i oddawna ustaliła się sucha mroźna pogoda. Wielu ludzi było bez zajęcia i z utęsknieniem patrzano w niebo — rychłoli spadnie śnieg. „Nawet Pan Bóg zapomina o biedakach“; te

słowa można było słyszeć bardzo często. W tą ważną dla mnie niedzielę spadł wreszcie tak oczekiwany śnieg. Byliśmy zmuszeni formalnie przedzierać się przez zasypy śnieżne. Zebranie miało się odbyć w wielkiej sali w daleko położonej dzielnicy robotniczej. Gdyśmy przyszli, było już mnóstwo ludzi; chuchali i tarli ręce, tupali nogami, by się rozgrzać. Biło mi serce i czułam, jak pali mnie twarz, kiedyśmy się przeciskali przez ten tłum, by stanąć bliżej trybuny. Byłam jedyną kobietą w sali, i wszystkie spojrzenia, kiedyśmy przechodzili, były ze zdumieniem skierowane ku mnie. Nie mogłam dobrze dojrzeć mowcy gdyż był otulony jakby obłokiem dymu papierosów i cygar. Mówił o „kapitalistycznej produkcji“.

Były to znowu nowe, niesłychane dla mnie rzeczy. Wszystko, co czułam i czego nie umiałam jeszcze dobrze wyrazić, wszystko było tu wypowiedziane dokładnie i wyraźnie. Mówca rozpoczął wskazaniem na śnieżycę i tak obrazowo oświetlił przewrotny i bezmyślny porządek społecznego społeczeństwa. „To, co byłoby uważane w społeczeństwie rozsądnem za proste zdarzenie i przeszkodę ruchu,yczytuje się u nas za szczęście, dzięki któremu tysiące ludzi nie umrze śmiercią głodową, te tysiące ludzi bez zajęcia, którzy nie pracują, nie dla tego, że nie chcą, lecz dlatego, że inni, z powodu warjackich urządzeń społecznych

i głupich postanowień rządowych, pracować muszą tak długo, aż padną pod ciężarem pracy nadludzkiej“.

Ten wstęp został w pamięci i długo o nim myślałam. Na drugim zebraniu byłam w wigilię Bożego Narodzenia, gdzie oprócz mnie były jeszcze dwie kobiety. Mówca mówił o „Przeciwieństwach klasowych“. Mówił dobrze, z natchnieniem, porywająco. Słyszałam smutną historię moich własnych świąt wigilijnych i historię niedoli i nędzy biednych w przeciwstawieństwie do rozkoszy bogaczy. Wciąż miałam chęć krzyknąć: „Ja też wiem o tem; i ja mogłabym o tem wiele powiedzieć“. Nie odważyłam się jednak wypowiedzieć ani słowa; bałam się nawet okazać mój zapal dla mowcy. Uważałam to za nieodpowiednie dla kobiety i myślałam, że tylko mężczyźni przemawiać przystoi. Na zebraniach mówili też wyłącznie mężczyźni. Żaden z mowców nie zwracał się do kobiet, których wprawdzie było tylko kilka. Zdawało się, że wszystko opowiadane to wyłącznie męskie cierpienia i niedole. Bolało mnie bardzo, że nie mówiono nic o robotnicach, nie zwracano się do nich i nie nawoływano ich do walki.

Trzecie zebranie, na którym byłam obecna, i któremu przewodniczę, ze względu na jego charakter dotąd, było zebraniem wyborczem.

Policja nie puszczala kobiet na te zebrania

polityczne a tak bardzo chciałam być na niem. Pewnego razu, dzięki mej gorącej prośbie, udało mi się przekonać władzę, by mnie wpuszczono, musiałam jednak zostać w tyle, w kąci. Po raz pierwszy słyszałam, co mówiono tutaj o militaryzmie z socjaldemokratycznego punktu widzenia. I znowu część mych dawnych poglądów rozpadła się w gruzy. Do tego czasu myślałam, że militaryzm jest rzeczą samą przez się zrozumiałą i niezbędną. Wielka duma przepelniała moją duszę, że bracia moi nosili „mundur carski“, i ten, kto nie spełniał tej patryotycznej powinności, nie wydawał mi się godnym nazwy mężczyzny. Gdy w marzeniach dziewczęcych wyobrażałam sobie człowieka, który miał zostać moim mężem, to zdolność do służby wojskowej była jedną z cnót, jakie powinien był posiadać. Teraz padł i ten ideał. Militaryzm przedstawiony był jako ciężar narodowy, a ja musiałam się z tem zgodzić. Wojna zaś, morderstwo masowe nie była prowadzona, jak myślałam, w obronie granic kraju przed złym, dzikim wrogiem, lecz w interesie dynastji; podyktowana żądzą posiadania większych obszarów ziemi lub rozpoczęta z powodu intryg dyplomatycznych.

Wszystko, co słyszałam, było tak zrozumiałe, że dziwiłam się bardzo, dlaczego tak mało ludzi to rozumie.

Zebrania otworzyły przede mną jakiś świat

zupełnie nowy i wszystko wrzało we mnie chęcią osobistej działalności. Chciałam im pomagać i walczyć razem, nie wiedziałam jednak jak się do tego zabrać. Dzięki tym wszystkim wpływom zmieniłam się zupełnie. Ludzie, którzy nie rozumieli mych ideałów politycznych lub nie chcieli ich podzielać, byli mi osobistymi wrogami. Chciałam wszystkich nawracać do zainteresowania się polityką. Z moimi braćmi i ich żonami zaczęłam odwiedzać towarzystwa, których przedtem unikałam. Nazywano mnie dumną i pyszałkowatą, radzono mi porzucić mój pustelniczy tryb życia i korzystać z młodości.

Dawniej, gdy przyłączałam się do nich, wydawałam się sobie kozłem ofiarnym. Teraz natomiast szłam z nimi chętnie. Chciałam znaleźć sposobność mówić o socjaldemokracji i byłam zdania, że można o tem więcej mówić z mężczyzną niż z kobietą.

Zbyt prędko jednak spostrzegłam, jak dalece przeceniałam rozwój polityczny mężczyzn.

Chciałam zbierać składkę na fundusz wyborczy, i gdy zdradziłam się ze swym zamiarem, jeden z uczestników zebrania, rzemieślnik, zapytał: „Na fundusz wyborczy? Któż to taki? Ah! wiem już! to ten przejechany omywacz wagonów!“ I ja, młoda dziewczyna, żadnych praw nie mająca, mu-



siałam tłumaczyć tym panom, posiadającym prawo wyborcze, co to jest fundusz wyborczy i dlaczego trzeba robić składkę dla niego. Dziwiono się bardzo, skąd mam te wiadomości, kto mnie tego wszystkiego nauczył? Zbierałam pieniądze nawet w fabryce, z początku tylko między bliższymi koleżankami, liczba ich jednak powiększała się z dnia na dzień.

Wtedy właśnie rozpoczęto propagandę świętowania w dniu 1-go maja. Wprawiła mnie ona w stan gorączkowego podniecenia; chciałam się do tego przyczynić i poszukiwałam jednak myślących towarzyszek. Zwróciłam też uwagę na jednego robotnika, nosił on duży kapelusz; i z tego powodu miałam go za socjaldemokratę. Szukałam sposobności, by z nim pomówić, i odważałam się na rzeczy, których dotąd nigdy nie czyniłam. Robotnicy przed ukończeniem pracy myli sobie ręce w podwórzu. Wiele robotnic chodziło tam także. Ja nigdy tam nie byłam, by nie być wystawioną na przykre tam prowadzone rozmowy i które zawsze głęboko obrażały moje uczucia. Lecz teraz zamięszałam się w ich tłumie i udało mi się zagadnąć właściciela szerokiego kapelusza. Nie doznałam rozczarowania: był to poważny inteligentny robotnik członek związku roboczego. Jak byłam szczęśliwą, wiedząc, że mam towarzysza w fabryce. On agitował

wśród mężczyzn, ja wśród kobiet — i święto 1-go maja powinno się być udać.

Jednak nie udało się. Ludzie za bardzo ulegali woli fabrykanta i nie mogli jeszcze pojąć, żeby robotnicy mogli coś z własnego postanowienia przedsięwziąć. Zagrożono, że wszyscy ci, którzy nie staną do pracy 1-go maja, będą wydaleny z fabryki. Jeszcze ostatniego kwietnia starałam się przekonać robotnice wspólnej sali, by przystąpiły do świętowania dnia 1-go maja. Proponowałam, żeby wszystkie ze swych miejsc powstały, gdy przejdzie „pan“ przez salę, a ja wyłuszcę mu nasze wymagania, potrzeby i zamiar. Wspólne opuszczenie swych miejsc miało oznaczyć solidarność. Wiele robotnic zgadzało się ze mną w zupełności, lecz stare pracownice, zatrudnione tam dziesiątki lat, zapewniały, że nie powinno się tego robić przez wzgląd na „pana“. Wszystkie więc siedziały, kiedy on przyszedł. Chciałam więc dla siebie samej prosić o uwolnienie, lecz wieczorem ogłoszono: kto nie przyjdzie pierwszego maja, ten może zostać w domu do poniedziałku. Ten rozkaz przeraził mnie. Byłam przecie biedną dziewczyną: dzień 1-go maja przypadał na czwartek; czy miałam prawo i możliwość tracić pół tygodnia? Ostatecznie nie tyle bałam się tego rozporządzenia, ile tego, że mnie mogą zupełnie z fabryki wydalić, a gdzieżbym znalazła tak dobre zaję-

cie? A co stałoby się z moją biedną starą matką, gdybym dłuższy czas była bez zajęcia? Cała moja ponura przeszłość stanęła mi przed oczyma — i upokorzyłam się. Z zaciśniętymi pięściami i zbuntowanym sercem musiałam uledeć.

Gdy pierwszego maja szłam w stroju niedzielnym do fabryki, widziałam tłumy, idące ze sztandarem majowym na zebranie. Brat mój i jego przyjaciel należeli do tych szczęśliwych, którzy mogli ten uroczysty dzień świętować. Ból i cierpienia, jakie dzień cały szarpały mi serce, z niczem nie da się porównać. Z jakimż utęsknieniem czekałam, by przyszli socjal-demokraci i siłą wprowadzili nas z fabryki! Ja cieszyłam się tą myślą, podczas gdy inni drżeli z obawy. Okna były cały dzień zamknięte okiennicami, by strejkujący nie wytlukli szyb kamieniami. Podczas wypłacania pensji, każdy z pracujących otrzymał zawiadomienie tego rodzaju: „Z wdzięczności za wierność mego personalu w dniu 1-go maja każdy robotnik otrzymuje 2 guldeny, robotnica zaś — guldena nagrody“.

Mój gulden, który z chęcią rzuciłabym pod nogi przedsiębiorcy, odniosłam do redakcji „Funduszu świętowania pierwszego maja“.

Następny 1-szy maja świętowałam i ja. Nie przepuściłam ani jednego dnia, by nie agitować do tego. Teraz jeszcze wspominam z za-

dowoleniem po tylu latach, jak dobrej użyłam taktyki. Między koleżankami były niektóre spokrewnione z majstrami oddziałów i stojące dla tego na wyższych stanowiskach. Te pozyskałam dla święta pierwszego maja; wyjaśniłam im cele świętowania tego dnia i zgodziły się należeć do deputacyi, która miała zażądać od naszego pracodawcy dobrowolnej zgody na świętowanie uroczystości robotniczej. Była to mała rewolucya! Żony, córki i siostry zwierzchników przemawiające za świętem pierwszego maja! Mój przyjaciel z męskiego oddziału też sumiennie spełnił swój obowiązek i pozwolono nam obchodzić święto robotnicze z warunkiem, że zapłacimy z naszej kieszeni stratę tym z robotników, którzy dobrowolnie świętować nie chcą. Spustoszyłyśmy nasze skarbonki, oddając pieniądze, składane na święta Bożego Narodzenia, gdyż znalazło się dwóch kolegów, którzy nie powstydzili się żądać od nas zapłaty za stracony dzień.

Wkrótce potem miałam moją pierwszą mowę. Było to w niedzielę przed południem na zebraniu fachowców. Nie mówiłam nikomu, dokąd idę, a ponieważ często wychodziłam w niedzielę przed obiadem, by obejrzeć galerję lub muzeum, więc nieobecność moja nie była nikomu podejrzaną. Na zebraniu zjawilo się 300 mężczyzn i tylko dziewięć kobiet, jak dowiedziałam się później z gazety fa-

chowej. Na tem zebraniu miało być omówione doniosłe znaczenie organizacyi rzemieślniczej, w określonej branży znaczną rolę bowiem odgrywała kobieca siła robocza, a podaż tańszej pracy kobiet już bardzo się dawała we znaki robotnikom. Prowadzona była do tego specjalna agitacya, a choć w każdej z fabryk tego rodzaju pracowały setki kobiet, jednakowoż na zebranie przyszło ich tylko dziewięć. Gdy przewodniczący ogłosił, a referent zwrócił na to uwagę, uczułam wielki wstyd za obojętność moich współtowarzyszek. Wszystkie wyrzuty przyjmowałam osobiście do siebie i czułam się niemi głęboko dotkniętą. Mówca określił pracę kobiety i nazywał zadowolenie, brak dążeń i zaufanie robotnic przestępstwem, które pociąga za sobą wszelkie inne nieszczęścia. Mówił też wogóle o ruchu kobiecym i od niego usłyszałam pierwszą wzmiankę o książce Augusta Bebla „Kobieta a socyalizm“.

Gdy prelegent skończył, przewodniczący zwrócił się do obecnych, wzywając ich do wypowiedzenia się w danej sprawie. Miałam uczucie, że muszę mówić. Zdawało mi się, że oczy wszystkich zwrócone są ku mnie, że oczekują, co ja powiem w obronie swej płci. Podniosłam rękę i prosiłam o głos. Krzyczano „brawo“ nim zaczęłam mówić, tak ogromny wpływ miał fakt, że robotnica mówić będzie. Gdy wchodziła po stopniach na mównicę,

pociemniało mi w oczach i kurecz jakiś ścisnął mi gardło. Jednak przewyciężyłam ten stan i po raz pierwszy w mem życiu przemówiłam do zgromadzenia.

Mówiłam o cierpieniach, wyczerpaniu i moralnem zaniedbaniu robotnic. Na ostatnie kładłam szczególny nacisk, gdyż to zaniedbanie duszy i umysłu miałam za przyczynę wszystkich drugorzędnych i hańbiących robotnic rysów charakterów. Mówiłam o wszystkim, czego doznałam sama i co widziałam u innych koleżanek. Wymagałam dla mej płci oświaty, nauki i wykształcenia, a mężczyzn prosiłam, by pomagali nam w naszym zadaniu.

Zachwył w zebraniu nie miał granic; okrążono mnie i chciano wiedzieć, kto jestem; z początku myślano, że należę do tej samej branży i proszono mnie, bym napisała w gazecie fachowej odezwę do robotnic w tym samym sensie, co i wygłoszona przeze mnie mowa. Było to dla mnie rzeczą bardzo trudną. Chodziłam do szkoły tylko trzy lata, o gramatyce i pisowni nie miałam pojęcia, a kaligrafia moja była zupełnie dziecinna, gdyż nigdy nie miałam sposobności ćwiczyć się w niej. Jednak obiecałam postarać się i napisać żądany artykuł.

Jakby we śnie powróciłam do domu. Bezgraniczne uczucie szczęścia natchnęło mnie, zdawało mi się, że zawojowałam świat cały.



Sen nie zamknął tej nocy mych powiek. Artykuł do gazety był wkrótce napisany; był krótki, a styl jego zupełnie prosty. Brzmiał, jak następuje:

„O położeniu robotnic, zatrudnionych w fabrykach“

„Robotnice! Czyście już kiedyś myślały nad swoim położeniem? Czy nie cierpicie wszystkie pod jarzmem brutalności i wyzysku waszych, tak zwanych, panów? Wiele niewolnic fabrycznych pracuje od świtu do późnej nocy, podczas gdy tysiące ich siostr siedzi, oblega bramy fabryk i warsztatów, gdyż nie mogą dostać tyle roboty, żeby nie przymierać głodem i okryć nagość swego ciała. A jaką jest płaca za tylogodzinną pracę?

Czy niezamężne robotnice mają możliwość wieść żywot, godny człowieka? A cóż dopiero zamężna! Czy mimo wyczerpującej pracy może ona jak należy zaopatrzyć swe dzieci? Czy nie jest wystawiona na nędzę, chłód i głód, by mieć dla nich najniezbędniejsze? Jakiem jest położenie kobiet-pracowników; gdy spokojnie przypatrywać mu się będziemy — nie poprawi się ono wcale, przeciwnie, będziemy coraz więcej poniżane i wyzyskiwane.

Robotnice! Dowiedźcie, żeście jeszcze nie zupełnie ugrzęzły w błocie i umarły duchowo! Powstańcie, pojmijcie, że kobiety i mężczyźni pracujący powinni iść ręką w rękę w tej

walce. Nie zatykajcie uszu na wołanie, do was zwrócone! Wstępujcie do organizacji, która ma na celu wychować i kobiety do walki ekonomicznej i politycznej.

Chodźcie na zebrania, czytajcie gazety robotnicze, wstępujcie w rzędy socjalno-demokratycznej robotniczej partii, jako pracownice, świadome celu i znaczenia klasowego“.

Muszę też uczynić tu wzmiankę o przyjemnym dla mnie fakcie. Wspomniałam w jednym miejscu, że najstarszy brat po śmierci ojca udał się na obczyznę. Długie lata nie widzieliśmy się i później też spotykaliśmy się tylko pobieżnie. Brat mój był socjal-demokratą i czynnym członkiem partii, nadługo przedtem, nim ja miałam pierwszą mowę. Ze słyszenia wiedzieliśmy o tem, opowiadano nam, że ma takie dziwaczne poglądy, że wszystkich ludzi uważa za braci, że jest socjalistą. Wtedy wydawało mi się to romantycznym, później sama przejęłam się temi ideami. Matka nasza potępiała wszystkie jego poglądy, o których słyszała, nie podejrzewając nawet, że córka podziela je w zupełności.

Podczas uroczystości robotniczej spotkałam się z moim bratem i byłam głęboko szczęśliwą, że wśród członków rodziny mam jednomyślnika. Dzięki jemu poznałam wiele osobistości, które już przedtem wysoce ceniłam.

Pewnego dnia posłano mnie do gabinetu mego „pana“. Wydarzyło się to po raz pierwszy, choć już siedm lat pracowałam u niego. Doznawałam bicia serca, gdy zbliżałam się do drzwi kantoru, odprowadzona wzrokiem koleżanek. Fabrykant oczekiwał mnie z gazetą fachową w ręku. Artykuł był podpisany mem nazwiskiem. Mówił mi „panna“, czego nigdy nie robił względem innych robotnic; spytał mnie, czy znam tę gazetę i czy to ja pisałam ten artykuł. Na moją twierdzącą odpowiedź, rzekł mniej więcej: „Nie mogę Pani robić przepisów, jak ma Pani spędzać wolne chwile; chcę Panią prosić o jedną tylko rzecz. W mojej fabryce niech Pani porzuci wszelkie agitacje w takich celach. Również zabraniam pani wszelkich składek na korzyść jej dążeń. Chcę zachować ciszę i spokój w swym domu“. Na zakończenie dodał jeszcze: „Jedną tylko przestrożę chcę pani dać na drogę: pani jesteś młoda i nie możesz ocenić co robisz, pamiętaj pani jednak o tem, że polityka to niewdzięczne zajęcie“.

Mimo to, że powzięłam zamiar spełnić prośbę fabrykanta i zachowywać się w fabryce biernie, jednak nie udało mi się to, było to trudniej, niż myślałam, gdyż wiele rzeczy pogorszyło się, niektóre przywileje były zniesione. We wszystkich fabrykach pracowano dziesięć godzin dziennie, dzięki wystą-

pieniu w dniu 1-go maja, u nas zaś jedenaście godzin dziennie. Dodano nam godzinę za karę, żeśmy się jednak odważyli świętować w tym dniu. W tem nie było żadnej różnicy pomiędzy moim pracodawcą i innymi fabrykantami. On miał siebie za pana i chlebodawcę i chciał, żeby robotnicy zawdzięczali wszystko jego wspaniałomyślności i łasce. Żeśmy raz odważyli się wykonać z własnej inicjatywy jakiś zamiar, który nie miał u niego łaski, musieliśmy być ukarani za to.

Dopiero po mojem wystąpieniu z fabryki, raczył miłościwie zmniejszyć dzień pracy na godzinę, jednak wymógł na robotnikach i robotnicach piśmienne zobowiązanie się, że już nic wspólnego z socjalizmem nie mają.

Na wiele rzeczy patrzyłam teraz inaczej, niż przedtem. W fabryce pracowało mnóstwo dziewcząt, które nie miały jeszcze dozwolonego przez rząd wieku. Gdy oczekiwano wizyty inspektora fabrycznego — i dziwna rzecz, zawsze wiedziano przedtem, kiedy można go oczekiwać — przykazywano tym dzieciom, by mówiły, że mają lat 14, gdyby je spytano. Przedtem myślałam, jak inni: „Dobry pan! Naraża się na nieprzyjemności, współczując biednym!“ Od czasu zaś, jak przeczytałam dzieło Engelsa: „Położenie klas robotniczych w Anglii“, miałam o tem zupełnie inny sąd. Teraz miałam inne pojęcie

o pracy dzieci; a że nauczyłam się obiektywnie oceniać moje własne dzieciństwo, spędzane w warsztatach pośrednich pracownic, i młodość, spędzoną w fabryce, przysłałam do wręcz innych wniosków. Oprócz tego zauważałam, że te z robotnic, które od dzieciństwa pracowały we fabryce, były najkonserwatywniejsze i najnieдоступniejsze dla wszelkich wpływów i nawiązań do solidarności. Uważały siebie za część fabryki, nie wiedząc o tem, jak mało dostawało się z bogactw, chociażby tylko przez nie nagromadzonych. One były najpokorniejsze, jak płazy; znały tylko uczucie wdzięczności dla dobrego pana, który im zabezpieczył chleb na całe życie. Z nienawiścią, wzgardą i obrzydzeniem patrzyły na poglądy moje i moich jednomyślicielek.

Cóż dziwnego więc, że teraz zwróciłabym najchętniej uwagę inspektora fabrycznego na używanie do pracy 13-letnich dziewczynek! A jak wszystko czyszczono, myto, gdy oczekiwano urzędnika! Panował formalny fanatyzm porządku i czystości tam, gdzie zwykle najspokojniej gnieździły się kurz i brud!

Moje krytyczne obserwacje rozszerzały się także na inne sprawy. Należeliśmy do kasy chorych i nasz przedstawiciel w zarządzie, był zawsze obierany i mianowany przez fabrykanta w imieniu pracowników. Teraz dowiedziałam się, że mieliśmy prawo obierać go. Prawo to

wyjaśniłam i wymogłam na zebraniu przy pomocy wyżej wspomnianych jednomyślicieli. O tej porze były wielkie strejki; tysiące ojców rodzin trzeba było wspierać, żeby uchronić ich i rodziny od śmierci głodowej. Organizacje nie posiadały jeszcze wtedy żadnych funduszy, więc prasa robotnicza nawoływała do składek; ja też poczytywałam sobie za obowiązek prosić kolegów i koleżanki o przyczynienie się do powiększenia sumy. U większości miałam powodzenie. Fabrykant dowiedział się jednak o tych składkach. Prosił, abym mu przyniosła coś napisanego przeze mnie, chciałby bowiem dać mi miejsce więcej odpowiednie moim zdolnościom. Zrobiło mi się strasznie przykro, gdy pomyślałam o swoim błędnym i brzydkim piśmie. O tem jednak, co miałam pisać, nie miałam potrzeby długo myśleć. Czytałam właśnie znowu poezje Goethe'go i napisałam strofę z „Prometeusza“. która mi się nadzwyczaj podobała:

„Gdym dziecięciem małym był,  
Nie wiedziałem, dokąd iść —  
Wzrok mój błędzący podniosłem  
Ku słońcu, jakby tam  
Ktoś słuchać chciał mych skarg,  
Jak by tam ktoś, jak moje, serce miał  
I nad uciśnionym litował się.“

\* \* \*

Następnego dnia kazano mi zająć posadę w kantorze, gdyż moja poprzedniczka zacho-



rowała. Kilka lat przedtem wprawiło by mnie to w bezgraniczny zachwył. Jakżebym się cieszyła, że nie potrzebowałabym być robotnicą fabryczną. Zwyciężyć wszystkie trudności wydawało by mi się rzeczą zupełnie łatwą! Lecz teraz byłam wrażliwszą. Było mi nieprzyjemnie zajmować posadę, nie posiadając żadnych umiejętności. Znałam wprawdzie pamięciowe liczenie, nie miałam jednak pojęcia, jak wypełniać rachunki na papierze. Trochę mnożenia i dzielenia, którego się nauczyłam w trzeciej klasie szkoły ludowej, już dawno zapomniałam. Gdybym przynajmniej była zadowolona z nowej posady, to nauka szła by mi łatwo, lecz ta posada oddzielała mnie od dawnych kolegów. Nie mogłam więcej prowadzić propagandy.

Od czasu mej pierwszej mowy byłam zaproszona na mnóstwo zebrań. Wieczorami kilka razy na tydzień i każdej niedzieli odbywały się zebrania, na których mówiłam. W kantorze jednak pracowałam godzinę więcej i było już za późno chodzić na zebrania. Wprawdzie, pracowałam mniej: Z rana przychodziłam dopiero o ósmej, a na obiad miałam dwie godziny czasu, tak że mogłam chodzić do domu, oprócz tego płacono mi teraz guldena więcej.

Byłam teraz „panienką“ i mogłam się ładniej ubierać. Gdy jednak dalej przemawia-

łam na zebraniach niedzielnych, a gazety drukowały recenzje o moich przemówieniach, znów kazano mi się tłumaczyć, po co teraz to robię. Nie jestem już przecież robotnicą, nie powinnam się więc temi sprawami interesować. Prosiłam by mi zwrócono me miejsce w fabryce i prosiłam tak długo, aż prośby moje odniosły skutek.

Położenie moje nie było teraz przyjemne. Policja zaczęła zwracać na mnie uwagę. Nawet adwokaci już ofiarowali mi swoją opiekę. Pierwsze zawiązanie do sędziego śledczego otrzymałam w dodatku w fabryce. Było to coś niesłychanego i starszy majster nasz był zupełnie, jak wściekły. Ja sama też się przerażałam. Pierwszą myślą moją było, co matka na to powie.

Gazety pisały o mnie, co jeszcze utrudniało położenie moje w fabryce. Niechciałam czekać, aż mi wymówią miejsce i sama prosiłam o uwolnienie, żeby w zupełności móc się poświęcić swym dążeniom i bezustannie pracować dla organizacyi kobiet. Dostałam piękne świadectwo, w którym wychwalano moją pilność, poczucie obowiązku i nadzwyczajną zdolność. Fabrykant sam wręczył mi je ze słowami: „Życzę pani na nowem polu działalności tyleż uznania, jak w dotychczasowej pracy“.

\* \* \*

Chcę jeszcze opowiedzieć, jak zapatrywała się matka na moje ideały i działalność; jest to najsmutniejsza karta mych wspomnień.

Ta kobieta, która miała poza sobą długi łańcuch cierpienia i niedostatku, która wśród okropnych warunków życia co dwa lata wydawała na świat dziecko i karmiła je własną piersią 16 lub 18 miesięcy, by się jaknajdłużej od nowej ciąży uchronić, ta kobieta, kłopotami i ciężką pracą przedwcześnie złamana — nie mogła sobie dla swej córki innego losu wymarzyć, jak dobre małżeństwo. Wydać za mąż córkę było jej jedyną myślą, jedynym marzeniem, i wiele cierpieć musiałam, by się uwolnić od narzucanego mi małżeństwa, mającego na celu polepszenie bytu i uwolnienie mnie od pracy w fabryce.

Wyjść za mąż i mieć dzieci — to było podług niej — przeznaczeniem kobiety. Jak przedtem cieszyły ją pochwały, którymi mnie darzono, tak teraz zmieniła się, gdy się przekonała że chcę całe życie poświęcić mym dążeniom. Im więcej występowałam jako mówczyni, tem surowszą stawała się względem mnie matka.

Choć właściwie wcale religijną nie była, życie jej było na to zbyt gorzkie, jednak zachowała pozory religijności. Moje zaś wolnomysłne poglądy religijne powiększały jej niezadowolenie i powtarzała wszystko, co od

nieuków i złych ludzi o socyal-demokratkach słyszała. Martwiła i obrażała mnie bezustannie złośliwymi zdaniem o partyi, do której należałam.

Gdy musiałam stawić się do policyi lub do sędziego śledczego miała to za taki wstyd i hańbę, jakbym była popełniła brzydkie przestępstwo. Z powodu mej wciąż wzrastającej działalności przychodziło mi czasem wracać do domu o późnej godzinie, zaczęła więc mną pogardzać, jej zdaniem bowiem, porządna panienka nie powinna była tak postępować. Czekala na mnie, by wyrzucić mi scenę; łajac mnie, gdym zmęczona i zziajana wracała do domu. Jeśli przychodziłam z uczuciem zadowolenia, żem mogła korzystnie pracować, matka zatruwała mi radość kpunami i wyśmiewywaniem się. Często godzinami leżałam w łóżku i płakałam rzewnymi łzami, że mnie los dotknął tak ogromnem nieszczęściem. Teraz, gdy miałam zajęcie, które mnie zachwycało, które dawało mi szczęście i radość, musiałam cierpieć, że matka moja za stara by mnie zrozumieć i odczuwać ze mną.

Nigdy jednak nie miałam zamiaru porzucić jej. Tyle cierpień przeżyliśmy razem, jakże teraz nie miała być ze mną, gdy wszystkie ponure cienie opuściły mnie. Teraz, gdy życie moje było tak pełne, tak treściwe, traciłam wspomnienia ponurej nieszczęsnej przeszłości.

Czułam się zdrową zupełnie i dość silną, by móc znosić najgorsze trudy dobrowolnie obranego zawodu. Tylko wrogi nastrój mej matki był dla mnie coraz cięższym brzemieniem. Ona tamowała mój rozwój i zdawało mi się, iż dźwigam ciężkie kajdany.

Chcę teraz z wdzięcznością wspomnieć o jednej próbie, uczynionej, by nawrócić matkę i pogodzić ją z moim powołaniem.

Fryderyk Engels podróżował po kontynencie wtedy i ja go poznałam. Był nadzwyczaj uprzejmy, tak że wcale nie czynił wrażenia „wielkiego“ internacjonalisty. Ponieważ wtedy mało jeszcze było kobiet w partyach, a przywódcy stwierdzili, iż współpracownictwo kobiet ma wielką wartość, przeto Engels bardzo interesował się moim rozwojem umysłowym. Podczas rozmowy mówiłam o tem, co mi najwięcej dolegało — o matce. Chciał mi pomódz i ulżyć mi w drodze życia. Z Augustem Bebl'em przyszedł do mnie, do mego skromnego mieszkania na przedmieściu. Chcieli objaśnić staruszce, że powinna być właściwie dumną ze swej córki. Lecz matka, która nie umiała czytać, pisać i nigdy nic nie słyszała o polityce, nie chciała zrozumieć dobrych chęci obu przywódców. Obaj byli znani w całej Europie; ich dzieła i mowy rewolucyjne poruszyły autorytety całego świata — dla biednej staruszki nie mieli jednak żadnego znaczenia,

nie znała nawet ich nazwisk. Gdyśmy znowu zostały same, powiedziała żartobliwie: „Takich starych sprowadzasz sobie“. Podług niej, każdy mężczyzna przychodzący, był konkurentem dla mnie, a że jej najgorętszym życzeniem było widzieć mnie zamężną, każdego więc miała za konkurenta. Obaj goście, z których jeden był staruszką, drugi zaś mógł być moim ojcem, nie zdawali się posiadać wszystkich kwalifikacyi na małżonków jej młodej córki.

Matka moja nie zmieniła się nigdy, przeciwnie, im starszą była, tem więcej była mi wroga, ja jednak przewyciężyłam nawet to. Przyszłam wreszcie do wniosku, że absolutnego szczęścia niema, a socjalizm dał mi tyle radości i zadowolenia, że wszystko inne wydawało mi się niczem. Z powołania wielkiej sprawie służyć daje tyle szczęścia, tyle wartości życiu, że wiele znieść można zawodów i zgryzot, bez upadania na duchu. Doznałam tego na samej sobie. Jakże zmienił mnie socjalizm! I lepiej go pojmowałam, im więcej świadomą byłam mej prawdy, tem mężniej stawiałam czoło wszelkim nieprzyjaciołom. Moja wiara w socjalizm była, jak skała, i nigdy nie przyszła mi na myśl choć na chwilę najmniejsza wątpliwość. Niezmałowane było me zaufanie, że piękny wiersz Jerzego Herwegh'a, który tak często zdobi ściany podczas świąt robotniczych, ziści się dzięki zwycięskiej sile



walki wolnościowej proletaryatu. Brzmi on, jak następuje:

„Czego żądamy od czasów odległej przyszłości?”

„By pracę mieć i chleb nasz powszedni,  
„By dzieci nasze w szkołach się kształciły,  
„A starce nie potrzebowali jałmużny“.

Jedynym czynnikiem, który mnie pchnął do napisania, jak zostałam socyalistką, była chęć dodania odwagi tym licznym robotnicom, które z utęsknieniem żądają działalności, lecz zawsze cofają się, nie dowierzając sobie, że mogą coś zrobić. Kto naprawdę chce pomódz, by słowa Herwegh'a nie zostały czczym dźwiękiem, ten nie powinien cofać się przed żadnymi przeszkodami.

Cel jest tak wzniośle piękny, świeci tak ułudnie, że nie ma tak wielkiej trudności, której by nie można było dla niego przezwy-  
ciążyć. Jeśli uda mi się tą pracą wywrzeć wpływ w tym duchu — wtedy cel mój będzie osiągnięty.

